

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

ŚWIĘTO NARODU.

Zbliża się święto wielkie, święto uroczyste, wprawdzie nie kościelne, ale święto całego polskiego narodu, bo rocznica Konstytucyi Trzeciego Maja. Obchodzimy też wszędzie święto to z całem skupieniem ducha i całą powagą, choć nam nikt tego nie nakazuje.

Święcimy dzień ten rok po roku, a tem silniej im dłużej tęskni naród, »by zmartwychwstał Trzeci Maj«, a tem pogodniej, im potężniej im szerzej wcielają się wielkie jego wskazania.

Dzień ów wielki szybko stał się dniem święta narodowego, bo był wpływem dwóch dążeń zasadniczych, które odtąd stać się miały gwiazdą przewodnią i treścią najistotniejszą życia narodowego, dążenia do społecznej odbudowy, mającej pracę i twórczość narodu oprzeć na jak najszerszych fundamentach i rozłożyć na jak najliczniejsze barki.

Konstytucya Trzeciego Maja, wkładając jednak obowiązki na wszystkie stany, dawała też wszystkim jednakowe prawa, równała wszystkie stany, co było jej wielką zasługą.

Ale inna jeszcze jest podstawa do obchodzenia tej rocznicy tak uroczyście! Konstytucyi owej nie nadawał nam bowiem żaden sprawiedliwy monarcha, ale naród sam uchwalił ją samorzutnie, bez żadnych przynagleń.

I owe dążenia stały się i są po dziś dzień podwaliną i najpowszechniejszym wyrazem naszej myśli narodowej. W imię i pod ich hasłem zrywał się naród do wszystkich swych krwawych walk o odzyskanie niepodległości, pod ich niewygasłą powagą uginają się po dziś dzień wszystkie programy narodowych stronnictw politycznych i przyjmują je na same czoło, jako najwyższe przykazania, w ich imię prowadzi się dzisiaj najpoważniejsza oświatowa praca narodowa, ich twórcy, ludzie Sejmu czteroletniego, stali się posągowymi pierwowzorami myśli narodowej.

Hasło to rzucone w dniu 3 maja 1791 r., choć na chwilę upadło, nie przebrzmiało jednak bez skutku, bo późniejsze lata przyniosły to, co im wskazała Konstytucya Trzeciego Maja. I dzisiejsza równość pod względem politycznym jest wypływem owych wzniosłych zasad, które zaborcze mocarstwa, mimo swej woli, przyjąć później musiały i nam je nadać.

Konstytucya wytyczyła dalej najpewniejsze i najlepsze drogi. Dążąc do odbudowy społecznej podniosła zasadę zniesienia przywileju społecznego i stworzyła w ten sposób program powołania do różnych praw i obowiązków wszystkich warstw narodu i rzuciła wielką zapowiedź, że Polska musi żyć, jeżeli żyć będzie pełnią całą, nie w setkach tysięcy, ale w milionach serc...

Konstytucya Trzeciego Maja przetrwała wszystko, ocaliła swą wielkością i szablą jej obrońcy, Kościuszki, honor upadającego narodu, snuje się nieprzerwanym szlakiem przez całe późniejsze życie narodu i tak jak przeszłe pokolenia zrywały się pod jej hasłem do walki, tak my pod jej znakiem po dziś dzień żyjemy i pracujemy.

A święto jej jest naprawdę świętem całego narodu. Nie jest to święto warstwy szlacheckiej, choć ona w swym sejmie to wielkie dzieło stworzyła, nie jest to święto mieszczan, choć oni tam do pełnego życia zostali dopuszczeni, nie jest nawet święto ludu wiejskiego, choć jego powołanie do pracy narodowej i do praw narodowych było i jest największym dziejowym czynem Konstytucyi; nie, żadną z tych nazw święta dzisiejszego nazwać nie wolno. Bo objęła ta Konstytucya i zespoliła ze sobą cały naród, wypłynęła nie z uczucia zacieśnionego do dobra jednej warstwy, ale z ogromnej troski o wszystkich jego synów i o samo jego istnienie, nie była krwawym i zapalnym porywem jednej chwili, ale promienistem pokojowem ogniwem, łączącem całą przeszłość narodu, z którą on zrywać nie chce i którą kocha, z całą jego teraźniejszością i przyszłością, którą sobie w świetle wskazań Trzeciego Maja, buduje i zbuduje.

Nam zaś nic innego nie pozostaje, jak w zgodzie i miłości wzajemnej uzupełniać te wielkie dążenia, jakie nam wskazała owa Konstytucya.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

3. Ujeżdżanie czwórki.

List zawierał wiele ważnych dla Ben-Hura wieści. Przedewszystkiem dowiedział się z niego, że Messala należał do spisku przeciwko jego rodzinie; że podzielił się z prokuratorem obfitym łupem; że obawiał się powrotu tego, którego podobało mu się zwać »zbrodniarzem« i wreszcie, że gotów był na wszystko, byle obawę tę usunąć od siebie na zawsze.

List był wyznaniem winy i zapowiedzią niebezpieczeństwa zarazem. Z głęboką wiarą ufał Ben Hur, że wielki Jehowa weźmie jego sprawę w swe wszechpotężne dłonie. A przy takiej opiece, cóż mu uczynić zdołają jego prześladowcy?

Wśród tych marzeń przychodziły mu ustawicznie na myśl słowa szeika: »Synu Hura«.

Skąd szeik mógł o tem wiedzieć? Nie od Malllucha zaiste, ani też od Simonidesa — w interesie kupca było milczeć. Czyżby Messala mu powiedział? Nie, to niepodobna; takie odkrycie mogło być dla niego niebezpiecznem. Daremne domysły. Lecz kimkolwiek był ów tajemniczy zwiastun, to pewna, iż był jego przyjacielem, a będąc nim, w stosownej chwili przyjdzie mu z pomocą. Dziś, może jutro. Czekał już tak długo, jeszcze chwila cierpliwości...

Chcąc uciec od tych myśli, błąkał się po gaju. Myśl jego przeniosła się na Baltazara, na cudowne rzeczy, jakie słyszał z ust jego o królu, którego starzec oczekiwał z taką tęsknotą. Tajemnicza ta postać przykuła do siebie błądzącą myśl młodzieńca. A ponieważ nie wierzymy zazwyczaj w to, co jest niezgodne z naszemi pragnieniami, więc owo królestwo, takie jak go rozumiał Baltazar, owo królestwo dusz, zdawało mu się wytworem mistycznej wyobraźni Egipcyanina, czemś nieprawdopodobnem i dziwacznem.

Królestwo Judei! tak! to wcale co innego! Istniało już ono, a więc istnieć mogło na nowo. — I myślał z dumą o królestwie rozleglejszem w obszarze, silniejszem w potędze od dawnego — i marzył o królu mędrszym od Salomona, o królu, któryby wiódł Izraela do zwycięztw i zemsty nad wrogami. A radując się już naprzód chwałą swego ludu, zwrócił kroki ku namiotowi.

Po południowym posiłku Ben-Hur kazał wytoczyć rydwan*) na pełne światło słoneczne i jął go oglądać na wsze strony. Baczności jego nie uszedł najmniejszy szczegół, przyczem spostrzegł z zadowoleniem, że jest on zbudowany na wzór rydwanów greckich. Były one mocniejsze od rzymskich, miały tor szerszy i na kołach osadzone były niżej; ciężar ich był wprawdzie większy, lecz podołają mu Ilderimowe rumaki — o tem nie wątpił.

Rzymscy majstrowie budowali wozy wyłącznie niemal do igrzysk, dbając bardziej o jej piękną formę, niż o trwałość i bezpieczeństwo.

Obejrzawszy należycie rydwan, Ben-Hur kazał zaprządz do niego konie i wyjechał w pole dla wprawienia ich do biegu. Wrócił dopiero nad wieczorem. Postanowił nie wszczynać walki z Messalą aż do dnia igrzysk. Tu dopiero wrogowie spotkają się w obliczu całego Wschodu. O innych współzawodnikach nie myślał wcale. Ufał swej zręczności, a co do rumaków, te były godnymi jego sprzymierzeńcami w dziele zemsty.

— Wszak prawda, wy, przedziwne klejnoty! Któryż biegun sprosta tobie, Antares, lub tobie Aldebaran? Wszak prawda, Rigel — i ty Atair, królu biegunów! Wiatr nawet was nie dogoni!

Tak pieścił się i rozmawiał, jak starszy brat z młodszymi.

O zmroku Ben-Hur siadł u drzwi namiotu, czekając na powrót Ilderima. Odstąpiły wątpliwości, smutki i niepokoje. Czy to, że był zadowolony z wyniku ćwiczeń, czy że odświeżył się kąpielą i posilił sutą wieczerzą, dość że młodzieniec był wesół.

Wreszcie po długiem oczekiwaniu usłyszał tentent kopyt i spostrzegł zbliżającego się jeźdźca. Nie był to jednak Ilderim, lecz wierny sługa antyochijskiego kupca, Malluch.

— Synu Arriusa! — rzekł z niskim ukłonem — pozdrawiam cię w imieniu szeika Ilderima. Prosi, abyś dosiadł konia i przybył zaraz do miasta, czeka tam na ciebie.

Ben-Hur, nie zadając żadnych pytań, wszedł pod namiot, gdzie stały, zażywając posiłku, szeikowe rumaki. Aldebaran, przebierając cudnemi nóżkami, przybiegł do niego, jakby chciał ofiarować swe usługi. Ben-Hur pogładził go, lecz wziął innego konia, gdyż czwórkę zachowywał wyłącznie na igrzyska.

Wkrótce obaj z Malluchem jechali w milczeniu w stronę miasta. Przebyli w bród rzekę; cwałowali spory kawał prawym jej brzegiem i przeprawiwszy się znów przez bród, dostali się do miasta od strony zachodniej, nakładając w ten sposób niemało drogi. Ostrożność taka była konieczną. Jechali dalej w milczeniu aż do przystani naprzeciw składów Simonidesa pod mostem. Tu Malluch ściągnął cugle swego wierzchowca.

— Jesteśmy u celu — rzekł.

— Gdzie jest szeik? — pytał.

— Chodź za mną, zobaczysz go zaraz.

Obaj oddali konie stojącemu przed bramą niewolnikowi, poczem Malluch prowadził młodziana na górne piętro domu. Stanęli przed drzwiami.

Ben-Hur zapukał.

— W imię Boga, wejdź! — odpowiedziano.

4. Simonides zdaje rachunki.

Malluch został za progiem. Ben-Hur wszedł do komnaty. Nic się w niej nie zmieniło od czasu, jak tam był po raz ostatni, tylko teraz pośrodku na wysokiej podstawie stał bronzowy siedmioramienny świecznik, oświetlając rzeźbione misternie z drzewa ściany, złote gzymsy u pułapu i bogaty sufit. Ben-Hur, postąpiwszy kilka kroków, stanął. W komnacie siedzieli: Simonides, Ilderim i Estera.

Wzrok jego przenosił się kolejno na każde z nich, zdając się pytać: Czego ci troje mogą chcieć odemnie? I zaraz nasunęło mu się drugie pytanie: Przyjaciółmi-li są, czy wrogami? Ogarniał go niepokój.

Oczy jego wreszcie spoczęły na Esterze. W spojrzeniu jej tyle było słodyczy, wyczytał w niem tyle dla siebie życzliwości, ha! może nawet i czegoś więcej, że wszelka obawa odstąpiła od jego serca.

Z zadumy wyrwał go głos Simonidesa.

— Synu Hura — mówił — synu Hura! — powtórzył imię to powoli, uroczyście — witam cię w imię Boga ojców naszych, w imieniu mojem i moich.

Mówiąc to, skrzyżował ręce na piersiach, schylił głowę, wyrażając tem swoje niewolnictwo.

Ben-Hur zrozumiał ten ruch.

— Simonidesie — odparł, a głos jego drżał ze wzruszenia — przyjmuję pozdrowienie twe i pozdrawiam cię nawzajem, jak syn ojca.

*) Rydwan, wóz dwukolny, w którym stojąc, powozili starożytni na wyścigach wozowych czyli igrzyskach.

Słowa te wymówił z przyciskiem, chcąc odrazu zaznaczyć, że taki tylko stosunek mógł istnieć między nimi.

Simonides opuścił ręce na kolana, lecz, zwracając się do Estery:

— Córko — rzekł — pan twój stoi. Czyń, co do ciebie należy.

Stanęła przed nim zapłoniona, podając mu stołek. On wziął go z jej rąk i postawił u nóg Simonidesa.

— Tu usiądę — powiedział.

Oczy tych dwojga spotkały się znowu — na chwilę tylko, na króciutką chwilę, lecz od spojrzenia tego obojgu zrobiło się lżej na sercu; czuli się jakby lepsi i szczęśliwsi. I znowu głos Simonidesa wyrwał młodzieńca z zadumy.

— Estero, dziecię moje — rzekł — przynieś mi moje rachunki.

Wziął je do ręki; oblicze jego rozjaśniło się, jak gdyby wielki ciężar miał spaść z piersi.

— Synu Hura — mówił — przedewszystkiem winniśmy się porozumieć. Uprzedzając pytanie, które masz prawo mi zadać, a które, gdybyś mi go nie zadał, ja sambym postawił, oddawna już sporządziłem te rachunki. Objaśniają cię one co do twego mienia i co do wzajemnego naszego stosunku. Czy chcesz je przejrzeć?

Ben-Hur, biorąc z rąk jego papier, spojrzał na Ilderima.

Nie uszło to bystrego wzroku Simonidesa.

— Rachunek ten — rzekł — wymagał sprawdzenia. Przy końcu, we właściwem miejscu, znajdziesz podpis Ilderima, szeika. Wie o wszystkiem. Jest moim przyjacielem, a czem był dla mnie, tem stanie się dla ciebie.

— Rzekłeś — odparł Arab, skłaniając głowę na znak potwierdzenia.

— Znam już — odezwał się Ben-Hur — co warta przyjaźń jego, pozostaje mi tylko okazać się jej godnym. Później, Simonidesie, odczytam to uważnie, teraz, jeśli cię to zbyt nie utrudzi, obznajmij mnie w krótkości ze stanem mego majątku.

Simonides odebrał zwój papieru.

— Oto — zaczął Simonides, biorąc pierwszą kartę — oto spis pieniędzy ojca twego, który uratowałem od grabieży. Z własności nieruchomej nic nie pozostało; te pieniądze uszły rąk Rzymian tylko dzięki przekazom, jakie upowszechnione są w handlu pomiędzy Izraelitami. Suma ogólna, ściągnięta z Rzymu, Aleksandryi, Damaszku, Kartaginy, Walencyi i innych domów handlowych twego ojca, wynosiła sto dwadzieścia talentów*) w monecie żydowskiej. Z taką sumą, z tymi stu dwudziestu talentami, zacząłem moje obroty. Oto spis tego, co dziś posiadasz.

W okrętach	60	talentów
W towarach na składach	110	"
W ładunkach okrętowych i w karawanach	75	"
W wielbłądach, koniach i t. d.	20	"
W magazynach	10	"
Wierzytelności	54	"
Pieniędzy w gotówce	224	"
Razem	553	talentów

— Do tych pięciuset pięćdziesięciu trzech talentów, którem przysporzył, dodaj sto dwadzieścia talentów, pozostałe po twoim ojcu, a będziesz miał sześćset siedmdziesiąt trzy talenty. Wszystko to twojem jest i czyni cię, o synu Hura, najbogatszym człowiekiem na ziemi.

Wziął papiery z rąk Estery i zwinąwszy wszystkie, prócz jednego, oddał Ben-Hurowi. W słowach jego i spojrzeniu przebijała się duma, lecz duma to była szlachetna — płynęła z poczucia spełnionego obowiązku.

— Teraz — dodał drżącym ze wzruszenia głosem — niema nic, coby dla ciebie było niepodobnem, niema nic, czegobyś nie mógł dokazać.

Na twarzy Ilderima malowało się wzruszenie. Chwila była uroczysta. Wszyscy oczekiwali, co powie Ben-Hur, jak przyjmie tę wielką radość.

On wziął zwój z rąk kupca i rzekł.

— Pan zesłał mi światłość z nieba i rozproszyła się noc tak długa, żem jej końca spodziewać się nie śmiał. Składam dzięki naprzód Jehowie, że mnie nie opuścił, a potem tobie, o Simonidesie! Niema nic, czegobym nie mógł dokazać — powiadasz, a skoro tak jest, czy mogę dozwolić w godzinie tak wielkiego szczęścia, tak wielkiej potęgi, by ktokolwiek okazał się wspaniałomyślniejszym odemnie. Bądź mi świadkiem, szeiku Ilderimie; słuchaj słów moich i zapamiętaj.

Rękę, w której trzymał zwój, wyciągnął do Simonidesa.

— Wszystko to, co wciągnięte jest w ten rachunek — mówił — zwracam tobie, Simonidesie, oddając je na własność tobie i twoim po wsze czasy.

Estera uśmiechała się przez łzy; Ilderim szarpał brodę, a oczy iskrzyły mu się jak żużle. Jeden tylko Simonides zachował spokój.

— Oddaję ci je na własność — ciągnął dalej Ben-Hur — z jednym wyjątkiem i pod jednym tylko warunkiem.

Wszyscy wstrzymali oddech w piersiach.

— Te sto dwadzieścia talentów, co były własnością mego ojca — kończył młodzieniec — te mi zwrócisz i będziesz mi pomagał w odszukaniu mojej matki i siostry, nie szczędząc na to twoich pieniędzy, tak jak ja nie będę szczędził moich.

Na twarzy Simonidesa teraz dopiero odbiło się wzruszenie.

— Poznaję cię, synu Hura, i wdzięczny jestem Panu, że przysłał mi ciebie takim, jakim jesteś. Jeślim służył wiernie twemu ojcu za życia, a jego pamięci po śmierci, również wiernie i tobie służyć będę aż do chwili, gdy spodoba się Jehowie powołać mnie przed siebie. Lecz wszystko to twojem jest i więcej jeszcze.

Tu, rozwijając ostatnią kartę, dodał:

— Weź to i czytaj głośno.

Ben-Hur czytał:

Spis sług Hura, podany przez Simonidesa, zarządcę mienia: 1) Amrah, Egipcyanka, w pałacu w Jerozolimie, — 2) Simonides, zarządca w Antyochii, — 3) Estera, córka Simonidesa.

Nigdy dotąd Ben-Hur nie zastanawiał się nad tem, iż córka Simonidesa, według prawa, winna była dzielić służebnictwo swego ojca. Teraz, gdy spis ten zaznaczał tak odmienny ich do siebie stosunek, młodzieniec spojrzał na nią, jak gdyby ją widział po raz pierwszy, przyczem zarumienili się oboje. Ona spuściła oczy.

Ben-Hur zwrócił się do Simonidesa.

— Sześćset talentów! — rzekł — fortuna to zaiste królewska, lecz, o Simonidesie i ty, piękna Estero! bądźcie bez obawy! Szeik Ilderim będzie świadkiem, że w tej samej chwili, gdyście mi się oddali w służebnictwo, ja dałem wam wolność. A to, co mówię, chcę potwierdzić moim własnoręcznym podpisem. Czyście zadowoleni?

*) Talentem nazywała się suma, równa co do liczby dzisiejszym 5000 koron, ale ponieważ pieniądze nieustannie tanieją, talent za czasów Chrystusa Pana miał wartość dzisiejszego pół miliona koron.

— O, synu Hura! — rzekł Simonides. — Myliłem się, mówiąc, że niema nic, coby nie było w twojej mocy.

Ben-Hur mierzył komnatę niespokojnymi krokami, bijąc się o własną bezsilność.

— I przedtem już byłem bogaty! — zawołał nagle. — Teraz mam tyle pieniędzy, co sam cezar i to, czego on nie posiada, mam człowieka, którego rozum zdobył mi bogactwa. Radź mi, o Simonidesie! Wytknij mi drogę, po której mam iść, ażeby stać się godnym imienia mego ojca. Dopomagaj mi, a będę dla ciebie tem, czem ty dla mnie jesteś wobec prawa: twoim sługą, twoim wiernym niewolnikiem!

Twarz Simonidesa promieniała.

— O synu mego zmarłego pana! — mówił. — Nietylko pomocą ci będę i radą, lecz wszystkie władze mojego umysłu oddam tobie wyłącznie. Lecz trzeba, byś mnie uczynił tem, czem mianowałem się sam.

— Mów! — zawołał żywo Ben-Hur.

— Zrób mię zarządcą dóbr twoich!

— Od tej chwili licz się za takiego.

— Słowo twoje mi wystarcza. Tak było z ojcem; nie żądam od syna niczego więcej.

Przez chwilę panowało milczenie.

5. Nadchodzi. Jako zbawca? Jako król?

— Estero — rzekł Simonides — noc już zapada, a nie rychło jeszcze się rozejdziemy. Każ przynieść posiłek.

Estera zadzwoniła. Sługa wniósł na tacy pszenne ciasto i wino. Wzięła je z rąk jego i poczęła obnosić. Gdy wszyscy byli obsłużeni, Simonides zabrał głos znowu.

— Od tej chwili — mówił — życie nasze płynąć będzie razem. Winniśmy zatem pojmować się zupełnie. Przed paru dniami opuściłeś dom ten w przekonaniu zapewne, że nie chcę ci przyznać praw twoich. Że cię poznałem odrazu, świadkiem Estera, a także poświadczyć może Malluch.

— Malluch! — zawołał Ben-Hur.

— Kto tak, jak ja, przykuty jest do krzesła, musi mieć wiele rąk na szerokim świecie, jeśli chce, aby działo się według jego myśli. Mam też ich wiele, a jedną z nich — najsprawniejszą — jest Malluch. Są ludzie, dla których bogactwo staje się zgubą. — Chciałem wiedzieć, czy jesteś z ich rzędu. Posłałem Mallucha, aby się o tem przekonał. Był mi okiem i uchem. Nie miej mu tego za złe. Dobre mi tylko wieści o tobie dawał.

— Cóż znowu! Żalu do ciebie nie żywię — zawołał Ben-Hur — postąpiłeś, jak zwykle, z sercem i rozwagą.

Następnie przy posiłku zaczęli mówić o zapowiedzianym przez proroków, mającym wkrótce nadejść, królu żydowskim. Simonides mówił.

— Leży przed nami zadanie, które spełnić należy przed nadejściem króla. Nie możemy wątpić ani na chwilę, że Izrael będzie jego prawą ręką; lecz, niestety! ręka to bezbronna. Wśród tych milionów, niema jednego hufca, niema ani jednego wodza. Nie liczę najemników Heroda, utrzymywanych po to jedynie, aby nas zgnębić. Lecz nadchodzi chwila, gdy pasterz chwyci za dzidę i imać się będzie miecza, gdy nawet spokojne trzody zamienią się w srogie lwy! A wtedy, o mój synu, ktoś musi stanąć przy boku króla. I któżby, jeśli nie ten, co może go wesprzeć ramieniem i niezliczonemi bogactwy?

Twarz Ben-Hura oblała się rumieńcem.

— Rozumiem — rzekł — lecz mów wyraźniej. Dzieło do dokonania — to rzecz jedna; dokonać je, rzecz druga.

— Szeik i ty będziecie przywódcami, każdy w swoim zakresie — tłómaczył Simonides. — Ty udasz się do Jerozolimy, a stamtąd w pustynię; zbierzesz rozproszone syny Izraela, powołasz je do broni, dzieląc na dziesiątki i setki, ćwicząc je i wyznaczając im wodzów. A w oręż zaopatrzę je sam. Z Ilderimem już o tem mówiłem. Zgadza się. Lecz cóż ty na to, o panie?

Ben-Hur spojrzał na szeika.

— Tak jest, jak mówi, synu Hura — odrzekł Arab — ma moje słowo i to mu wystarcza, lecz ty będziesz miał moją przysięgę. Złożę ci ją za siebie i za całe moje plemię.

Wszystko troje — Simonides, Ilderim i Estera patrzyli na młodzieńca badawczo.

Niezaraz zabrał głos.

— Każdy — mówił, z początku ze smutkiem — każdy ma nalaną dla siebie czarę rozkoszy, która wcześniej, czy później, podaną mu bywa, a on i pije z niej i czuje się szczęśliwym, każdy — prócz mnie. Widzę, Simonidesie, i ty, szlachetny szeiku, do czego wiodą wasze namowy. Jeśli pójdę za niemi, spokój i radość trzeba mi żegnać na zawsze. Podwoje, w którebym mógł wkroczyć i bramy ziemskich uciech zamkną się przedemną — Rzym strzeże je wszystkie. Siepacze jego ścigać mnie będą w grobach i w ciemnych jaskiniach, gdzie szukać mi przyjdzie schronienia. Ale widzę, iż nie pozostaje mi, jak przyjąć na siebie zadanie, które mi przeznaczacie. A ponieważ, gdybym tu pozostał dłużej, spotkałaby mnie śmierć sromotna, wezmę się zaraz do dzieła.

— Umowa zatem stoi.

— Niech nam w niej pomaga Bóg Abrahama i Jakóba! — zakończył Simonides.

W taki to sposób został zawarty układ, który miał zmienić życie Ben-Hura.

— Jeszcze słowo, przyjaciele — mówił on wesoło. — Za zezwoleniem waszem, chciałbym należeć do siebie aż do dnia igrzysk. Nieprawdopodobnem jest, aby Messala zaczął stawiać mi zasadzki, zanim otrzyma odpowiedź prokuratora. Odpowiedź ta nie może nadejść prędzej, jak siódmego dnia po wysłaniu pisma. Stanąć z nim do zapasów w cyrku, to dla mnie rozkosz tak wielka, że gotów jestem opłacić ją kosztem własnego bezpieczeństwa.

Ilderim przystał z ochotą. Simonides, mając interes na względzie, rzekł:

— Zgadzam się chętnie na tę zwłokę — da mi ona czas zarządzić twojem mieniem. Zdało mi się, żeś mówił o jakimś spadku po Arriusie? Czy jest on w ziemi, czy w pieniądzach?

— Szlachetny mój opiekun pozostawił mi willę w Miseneum i domy w Rzymie.

— Myślę, że należałoby to sprzedać. Daj mi spis i upoważnienie, a wyślę natychmiast do Italii człowieka, który załatwi to wszystko. Przynajmniej choć raz uprzedzimy złodziei cezara.

— Jutro będziesz miał potrzebne papiery.

— A więc, jeśli nie macie mi już nic do powiedzenia, ukończyliśmy nasze sprawy — rzekł Simonides.

— I ukończyliśmy je dobrze — mówił Ilderim, gładząc swą mleczną brodę.

— Estero, chleba i wina. Szeik Ilderim zechce z nami pozostać do jutra lub dłużej, a ty, panie mój?

— Niech mi podadzą konia — zawołał Ben-Hur — wracam do Gaju. Muszę pospieszać, aby szpiegowie Messali nie wytropili mnie tutaj, a pilno mi także — mówił, zwracając się do Ilderima — pilno mi już do twoich arabczyków.

Z pierwszym brzaskiem dnia Ben-Hur i Malluch byli już w namiotach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PO KONSTYTUCYI TRZECIEGO MAJA.



Wielką i potężną była Polska nasza, ale właśnie ta potęga zaczęła niektórych zaślepiać, budzić w ich sercach zawiść i niezadowolenie. To też poczęły się coraz bardziej rozpowszechniać niezgoda i kłótnie wszelakiego rodzaju, a to musiało sprowadzić upadek naszej drogiej Ojczyzny.

Skorzystali z tej niezgody naszej wewnętrznej sąsiedzi nasi, najechali ziemię polską i w 1772 r. rozszarpali ją pomiędzy siebie. Rozszarpali wprawdzie nie całą, ale Prusy, Rosya i Austrya zabrały po szmacie ziemi polskiej, a w pozostałym kraju ograniczono liczbę wojska i nałożono inne ciężary, które tamowały rozwój nasz narodowy.

Wśród ogólnego jednak upadku ducha narodowego i zwątpienia dał nam Bóg mężów wielkich, którzy widzieli zło, jakie się szerzy i którzy pragnęli odrodzenia narodu polskiego. Mężowie ci poznali, że siła narodu nie w samej szlachcie leży, ale równa siła, a może jeszcze większa, spoczywa pod chłopską siermięgą.

Widzieli tę siłę i postanowili ją zbudzić z długiego uśpienia. W tym celu na sejmie w Warszawie radzono i postanowiono wezwać lud wiejski do wspólnej pracy nad odrodzeniem ojczyzny. Aby lud ten jednak czuł się rzeczywiście synami tej ojczyzny, to obok równych obowiązków z innymi musiał mieć i równe prawa. Dlatego też sejm ten uchwalił dla całego narodu konstytucyę, która równała wszystkich Polaków ze sobą bez względu na stany. Odtąd chłop, pan, urzędnik i t. p. mieli mieć równe prawa i równe obowiązki.

Konstytucya ta, ogłoszona 3 maja 1791 roku, nadawała włościanom równe prawa ze szlachtą, znosząc pańszczyznę, jaka podówczas była u wszystkich europejskich narodów. Pierwsza szlachta polska dobrowolnie na ten czyn się zdobyła i cześć jej się za to należy.

Coprawda pańszczyzna wówczas nie przestała istnieć, bo Moskale, bojąc się odrodzenia Ojczyzny naszej, wkroczyli do Polski i na wprowadzenie konstytucyi w życie nie dozwolili, więc i zniesienie pańszczyzny nie wszędzie nastąpiło.

Wśród ogółu szlachty polskiej, uradowanej uwłaszczeniem włościan, choć im ono grube straty materyalne przynosiło, znaleźli się jednak i tacy, którzy przekładali dobro własne nad dobro ogółu. Ale i ci, gdy wziął u nich górę rozsądek nad samolubstwem, nadawali poddanym swym ziemię na własność, znosząc dobrowolnie pańszczyznę.

Niejeden z nich, zawstydzony swym uporem, szedł potem pod figurę Zbawcy naszego, Chrystusa Pana, wyciągał miecz z pochwy, a wbiwszy go w ziemię na znak pokory i bezbronności, padał na kolana, a bijąc się w piersi, błagał Boga o przebaczenie za chwilową twardość serca. Po takiej modlitwie gorącej wracał uspokojony już i zadowolony do domu.

WYBORY.

Od wyborów do parlamentu dzieli nas jeszcze półtora miesiąca, a już wre wszędzie walka wyborcza. Kandydatów co niemiara. Niejednemu się przyśni, że kandydował; opowie to żonie a żona, że to, jak wszystkie kobiety, próżna i leci na honory, zwołuje zaraz kumotrów i radzi się, coby na to powiedzieli, gdyby jej chłop kandydował. Kumotrowie zachwalają, bo im to nic nie szkodzi, i odtąd żona nie da już chłopu spokoju. Jakby to ładnie było, myśli sobie, jakby mnie nazywali panią posłową i jako posłowej robionoby mi prędzej miejsce w kościele, cośby z dyet męża kapnęło i więcej byłoby pieniędzy na strojenie się a i próżnować możnaby więcej. Kiedy chłop oporny, to płacze i prosi, aż wreszcie babskie względy zwyciężają i jest nowo upieczony kandydat na posła, o którym dotąd nikt nie słyszał.

Inni w inny sposób zostają kandydatami, to też tak, że np. w jednym okręgu kandyduje ich dziesięciu. A przecież parlament, to nie to samo, gdy się zejdzie kilka kobiet na plotki i obracają językami jak kołowrotami. W parlamencie wprawdzie także trzeba obracać językiem, ale mądrze i mieć zawsze głowę na karku i im kto jest więcej wykształcony, wymowniejszy, uczciwszy i mędrszy, tem więcej dobrego może tam wykołatać dla kraju i wyborców. Przytem parlament to jest gospodarz całego państwa. A każdy wie, że od rozumnego, pracowitego i zdolnego gospodarza zależy wszystko, żeby gospodarstwo było dobrze prowadzone i co w tem gospodarstwie żyje było zadowolone i miało się dobrze. Przy zbliżających się wyborach wszyscy też powinni mieć to na myśli, aby do parlamentu wysyłać ludzi tęgich i wykształconych, aby się nie dali zjeść w kaszy Niemcom i Czechom i aby umieli bronić naszych interesów. Przekonaliśmy się już, co znaczy wysyłać do parlamentu byle kogo. W ostatnim czasie, jakby ku pouczeniu wyborców, było wiele przykładów. — Jedni posłowie przez całe 4 lata parlamentu byli tylko od pobierania dyet i nic przez ten czas nie robili, inni wprawdzie robili, ale źle i wstyd tylko wyborcom przynieśli. Nietylko nie pilnowali interesów kraju i wyborców, ale działali na ich szkodę.

Należy więc wybierać kandydatów przedewszystkiem uczciwych. Lecz uczciwy człowiek niewiele zrobi, jeżeli nie jest mądry, wykształcony, słabej woli i bez energii. Każdy więc rozsądny wyborca nim odda głos, pomyśli sobie, czy ten kandydat, na którego głosuje, jest z gruntu poczciwy, a następnie czy będzie co tam znaczył w parlamencie przez swój rozum, wykształcenie i inteligencyę.

A wyborcy włościanie powinni mieć jeszcze i to na uwadze, że są rolnikami. Jeżeli powierzą mandat jakiemu demokracie, to, rzecz pewna, że demokrata nie będzie ich bronił tak, jakby to robił np. poseł, który jest sam rolnikiem. Jakże bowiem taki demokrata będzie bronił i popierał rolnictwo, kiedy on się na niem nic nie zna. On z rolnictwa tyle wie, ile zje. A wiedzieć tylko tyle, że krowa daje mleko, lub że chleb z masłem i serem jest dobry, to trochę za mało. A dalej, żeby należycie bronić i popierać rolnictwo, to nietylko trzeba je dobrze znać, ale trzeba je także ukochać. A kto je bardziej może kochać, jak nie rolnik, który od młodości zajmuje się niem, uprawia ziemię, hoduje bydło, i z rolnictwa żyje. Wszystko jedno, czy to jest rolnik większy czy mały, byleby był rolnikiem a do tego mądrym, wykształconym i uczciwym rolnikiem, to bez porównania lepszym będzie obrońcą rolników niż mieszczanin, bo czuje ich niedolę i zna ich potrzeby.

To też włościanie powinni się usilnie starać, aby do parlamentu weszło jak najwięcej dzielnych rolników, bo jest to w interesie wszystkich włościan. Należy pamiętać o tem ustawicznie, gdyż wszystkie stronnictwa stawiają kandydatów i chwalą w niebogłosy swych kandydatów, jacy to są mądrzy ludzie, zasłużeni itd. Najlepiej umią chwalić się demokraty a przedewszystkiem narodowi demokraci. Dzięki temu samochwalstwu zdobyli oni przy ostatnich wyborach aż 16 mandatów i dlatego to rządzili Kołem Polskiem, chociaż bardzo kiepsko rządzili.

Dotychczas niewielu zgłoszono kandyndatów w miastach. I tak: w okręgu miejskim Bochnia-Podgórze-Wieliczka kandyduje Dr. Witold Korytowski, który był przez dłuższy czas ministrem skarbu i bardzo wiele dobrego zrobił dla rolnictwa i górnictwa krajowego. W okręgu miejskim Jasło-Biecz-Pilzno-Strzyżów-Dębica-Gorlice-Grybów kandyduje Dr. Władysław Leopold Jaworski, profesor Uniwersytetu, poseł na Sejm, znakomity polityk i uczony. W okręgu miejskim Mielec-Tarnobrzeg stawiają kandydaturę Dra Ignacego Rosnera, również znakomitego polityka i publicystę; w okregu miejskim Sanok-Rymanów itd. ubiega się o mandat Dr. Starowiejski, poseł sejmowy, sam rolnik i bardzo dzielny obrońca rolnictwa; w okręgu wiejskim buczackim ubiega się o mandat Stanisław Henryk hr. Badeni.

Jak wiadomo we wschodniej Galicyi będzie zacięta walka wyborcza między Polakami a Rusinami i te kandydatury przejdą tylko wówczas, jeżeli wszyscy Polacy w każdym okręgu będą jednomyślnie głosować za jednym kandydatem polskim.

W okręgach wiejskich Galicyi zachodniej występuje w okręgu tarnowskim znany i bardzo szanowany sędzia z Tuchowa Dr. Antoni Matakiewicz. W innych okręgach kandydować mają, jak słychać: Dr. Stafiej w krakowskiem, sędzia Bochniewicz w tarnobrzeskiem, poseł sejmowy Starowiejski w sanockiem.

Polskie stronnictwo ludowe w wielu okręgach wiejskich zamierza postawić swych kandydatów. Są to przeważnie kandydaci dzielni i będą bronili dobrze interesów naszego rolnictwa. Dotychczas starają się w okręgach wiejskich o mandat następujący kandydaci: Biała: Kubik, Maślanka, Zabuda, Kramarczyk. — Chrzanów: Dr. Ignacy Wróbel, Fr. Olas, Dr. Karol Smoleń. — Żywiec: Stanisław Szczepański. — Kraków: Franciszek Wójcik i Dr. Szczepański z Wieliczki. — Wadowice-Myślenice: Andrzej Średniawski, Teofil Korzeniowski, Władysław Wąsowicz, poseł Styła, Jan Świerguła. Bochnia-Brzesko: Adam Ruebenbauer, Dr. Fr. Bardel, Michał Rudnik, Edward Maurizio. — Tarnów-Zakliczyn: poseł Witos, Józef Budzyn i Romuald Reichelt. — N. Targ-Limanowa-Myślenice: Winc. Orzeł, Stan. Król, Stan. Śmiłowski, J. Biedroń. — N. Sącz-Grybów: J. Bosak, Stanisław Potoczek, Jan Kubisz, Tomasz Ciągło, Jan Tepper, Daniel Gadecki. — Gorlice-Jasło: poseł Władysław Długosz, Jakób Madej i Wojciech Duda z Czermny. — Krosno-Żmigród-Strzyżów: poseł Stapiński, Wojciech Bal, Szymon Książkiewicz, rejent Ignacy Dębicki, Wincenty Tęczar, Franciszek Łyszczarz i Jan Pilecki. — Dąbrowa-Mielec: poseł Jakób Bojko, poseł Andrzej Kędzior i Franciszek Krempa. — Tarnobrzeg-Nisko: hr. Zygmunt Lasocki, Tomasz Krzyś, Władysław Niemiec i poseł Bis. — Rzeszów-Kolbuszowa: Antoni Bomba, Jan Róg z Przyłęka, Andrzej Baran, Walenty Tomaka. — Łańcut-Leżajsk: Józef Jachowicz, Władysław Bogusz i Wojciech Marek. — Pilzno-Ropczyce: Józef Staniszewski i Jan Siwula. — Brzozów: Dr. Stanisław Biały. — Przemyśl: Jan Jaworski. — Sambor: Franc. Mleczko.

Zaczarowana księżna i sierota.

Opowiadał mi raz stary góral co następuje:

Downo temu, bardzo downo, zyła księznicka, co duse swojom zapisała dyabłu, za co mieli ją słuchać we wszyćkiem, co ino powie.

— Macie mi postawić — godo raz dyabłu — siedym zamków na siedmiu górak, tak zebyk z kozdego zomku syćkie inne uźreć mogła i zebyk, gdzie kcem, była kany kcem, a jak mi sie uprzyksy, to mie weźmies.

I nie długo cekać a jakby z pod ziemi wyrosły olbrzymie zomki na siedmi górak; pikne zomki a w nik śkliło sie od złota i dyamyntów. — Pełno w nik ludzi pozubiranyk a kozdy pokornie cekoł, co mu księznicka zrobić koze. I tak to było i było. Księznicka była se na kwile w jednym zomku, na kwile w drugim, jaze sie ji to uprzyksyło i pedziała dyobłu:

— Bier mnie, ale zanim mnie weźmies, wsyćkie zomki majom sie naroz zapaść razem ze mnom.

I naroz nie było zadnego zomku na wirku, ino ostały wierchy kominów. Zapadły sie zomki, zapadła sie i księznicka i pilnować musi po tyk zomkak złota i dyamentów, które poprzemienioły się w piosek. I chodzi se po tyk zomkak, jak i za życia, ka kce.



I trefiło sie roz panocku — mówił dalej góral, któregom spotkał wśród złomów skał koło Ślemienia, robiących wrażenie zapadniętego zamku — ze zaklęto księznicka była se tu haw pod ziemiom w ty czorci grocie.

Skieloro krów, kóz, cieląt, baranów pasło sie tu na tym paświsku. Pastyrze, jak chopoki, gonili sie, bili, popychali, przewracali i darli sie, ze ik daleko słychać było. Jedyn ino Wojtek sirota, co służył za pastyrza u bogaca Walka z Polany, siedzioł se cichutko pod jedlickom i robił se ta piscołke z wierzby. Nie obzywoł sie do nikogo, nieśmiały, jak sirota; gaciska potargane, bez kosule ino w takim potarganym kabocie, mioł na głowie kapelusine, coby ta niebardzo wróble kcioły mieć na gniozdo.

Dzis, krzycom nad nim pastyrze:

— Un se bedzie piscołki robił, a my bedziemy bydło nawracać! Bier mu kapelus, kie taki niemrawy!

I nie trwało ani pocierza, a juz Wojtek ni mioł kapelusa. Józek Kasprów porwał mu i rzucił do dziury między skały; a była to, panocku, dziura, dziura wielko, ze jak rzucił kto kamień, to długo trza było cekać, jak sie na dole obezwoł, bo to był downiejsy komin na zamku, co sie zapod.

— O rety, o jej! — biadał Wojtek sirota — o Poniezusicku! mój kapelus! jakze teroz pudem do chałpy bez kapelusa!

I becoł o ten kapelus dziurawy, ze aniby moze za matkom tak nie becoł.

— Wis, Wojtek — powiado Józek Kasprów, ten co mu ten kapelus porwoł i rzucił do dziury — jak juz ci tak luto za tem kapelusem, to cie spuscemy do te dziury i posukos se kapelusa.

I poodwiązywoł wszyćkie baty z bicysków, powiązoł to razem i zrobił sie z tego doś duzy snur.

— Trzym sie końca — godo do Wojtka — my cie spuscemy, a jak nojdzies kapelus, to cie wyciągnemy, a juz nie wrzesc.

Wojtek sirota uchwycił sie końca snurka a pastyrze trzymali drugi koniec i tak go spuścili na dół.

Idzie Wojtek i idzie, a płace, bo nie wie ka mo kapelusa sukać. Płace, ze aze sie ozlego, a któz ta usłysy płac siroty. Sirota jes ta to jes, a nima ji, to ji nima. Idzie i idzie, jaze przysed do jakiesik izby wielki i jaze go oślepiło, tak tam było piknie. Świcom sie ściany od złota, śrybła i dyamentów. Kie troske oprzytomnioł Wojtek, patrzy, a tu wysoko siedzi jakosik pani, a koło ni dwa psiska, a jedyn śnik trzymo w pysku jego kapelus. Leci Wojtek i kce mu wyrwać kapelus z pyska, ale psisko wielkie, kudłate wystawiło kielcyska i wyrcy: wrrr... wrrr... wrrr... Odskocył Wojtek przelękniony a jesce bardzi sie przeląk, kie ta pikno pani zacena mówić i to z wielkim gniwem.

— Cego tu kces? Jageś sie tu dostoł?

Bidno sirota bęc na ziemie i płace i płace w tym płacu godo:

— Panicko pikno, ze ani nie mogem patrzyć, posuchojcie mie, jak sie wom uzolem, ale jo ta wiem, ze sie nie ulitujecie, bo ktoby sie ta nademnom litowoł? Cy jo wortom tego? Ja sirota, Wojtek mi na imie; jak sie nazywom nie wiem, bo kiem juz zacoł cosik kasik rozumieć, pasołek gęsi u bogaca, co mie z litości przyjon. Nie znołek ojca, nie znołek matki. Nie słysołek ik mowy, nik jesce nie zawołoł na mnie: Wojtuś! Wojtusiu! ino: Wojtek niezdaro! Wojtek, jesceś tu? Jesceś tego nie zrobił? Gospodyni buch mie za kark; zryć to byś zar, ale do roboty toś nie jes! Ach! jak mi nieroz ciężko; woło na swego syna Michała gospodyni: Michaś, bedzies to abo to jod? Jam nigdy nie zaznoł piescoty matki, matka nigdy nie przytuliła mnie do swego serca, nad mojom kołyskom nie śpiwała, jak inne matki: Luli Wojtuś, luli, Poniezus utuli! Jo jus takie poturadło, popychadło! A Wojtek to, a Wojtek tamto, a jesce nie dogodzem. Cało moja uciecha, kie teroz wyzyne bydło, a siednem se, a zrobiem se piscołke z wierzby, a jak zacne grać, to mi łzy na dusy. Wszyćko wygrom, co mie boli i mojom tęsknote i sierocom dolę. Moja piscałka to wszyćko wygro. O panicko, anibyście sie nie nazdali, jak mi wesoło, kie se zagrom na piscołce. To i ptoki przylatujom do mnie i dziwujom sie, ze tak piknie grom,

O dolo siroco!
Bieda mi przyświco,

Któz mi dopomoze,
Miły mocny Boze!

Tak sobie grom i grom. Jaze dziś ten Józek Wawrzków z Polany zgniwoł sie, ze robiem piscołke, wzion mi kapelus i rzucił do ty dziury. Przysedek, bo mnie spuścili na snurkak i oto ten pies ma ten kapelus. Moja panicko pikno, niek mi oddo ten kapelus, bo bez kapelusa ni moge iść stąd; jak mi nie oddo, to niek mnie pozre, bo mnie i tak gospodorz nabijom.

I skrusyło sie serce ty pani i juz nie surowo, ale miękutko przegodała do siroty:

— Zbliz sie tu chłopce i zapamiętaj sobie, ze jesce nik nigdy nie odwazył sie tu wejś, tyś pirsy, co tak zrobił, ale ześ sirota, to ci darujem. Salamander — zawołała na psa, trzymającego kapelus w pysku — oddaj chłopokowi kapelus.

Pies bez warcenio przyniós kapelus. Wojtek uciesony biere i chce lecieć ku dziurze, ale go pani zatrzymuje i godo:

— Sirotaś, cosik ci kcem dospomóc, nabierz se do kapelusa tego piosku.

Wojtek kciołby juz być na wirchu z kapelusem, ale boł sie nie usłuchać, ale skrobie sie po głowie, bo kapelus dziurawy, jakze nabierze piosku.

— No! nie bój sie — zachęco go pani.

Nabiro Wojtek piosku, jakosik sie nie wysypuje śniego. I w dyrdy ku dziurze. Pociągnon za śnurek, ze juz mo kapelus a pastyrze ciągnom go ku górze, ale jakosik ciezko im idzie. Nareście Wojtek na wirchu.

— A cóz ty mos w kapelusu? cóz to mos? — dziwują się pastyrze.

— A dejze mi! a dejze mi! — wołają — i nie pytając sie. cy wolno, rozbirają świcące sie centki.

Kie Wojtek spenetrowoł, ze to złociuśkie centki, porwał kapelus i w dyrdy do domu.

— Wis co, Magda — godo gospodarz do baby — kie tako niedojda, jak Wojtek, a tylo przyniós dukatów, to kieloz dopiro przyniesie nas Michoł, taki śwarny i pikny, a nie jakosik znajda. — A cyby tyz ni móg namówić pastyrzy, coby mu kapelus rzucili do dziury? Posedby i przyniósby w nim dukatów.

Uzdało sie to gaździnie.

— Wojtek! Wojtek! a pódzies ty bezkurcyjo — łozdziero sie gaździna — na ciebie to sie ino trza drzyć, do zarcio, to cie nie trza tela razy wołać. Ty niezdaro! jutro ostanies w chałpie, a Michoł pozynie bydło na paświsko! Rozumis? Cy nie?

I juz Michał naucony bez matke, co ma robić, zynie bydło razem z pastyrzami, ci wrzucajom mu kapelus, puscają go na śnurach do dziury i Michał idzie, a kie wsed do izby z paniom na stołku, obzywo sie do nie:

— Te zbóje chopaki rzuciły mi kapelus, jakby przysed do chałpy bez niego, to mie ociec zabije.

— Bier go Salamander — woła ze złościom księznicka zaklęta — bo Wojtuś sirota był i bez to dostoł dukaty, a tyś łakomy i kłamiesz! Bier go!

I zginoł Michał, jakby kamień rzucił we wode.

Pastyrze cekają i cekają, jaze polecieli do ojców i powiedzieli, ze Michała nima.

— Wis Magda, nima Michała — godo gospodarz. — I dukatów tyz nima.

— Wis stary — obzywo sie na to gospodyni — mnie sie zda, ze dyabeł mioł litoś nad sirotom, a my ji nieroz ni mieli.

I — dokończył góral powiastki — stał się Wojtek najbogatszym gospodarzem we wsi, zaś Michał przepadł na wieki, bo Bóg biednych pociesza, ale karze chciwców. ***Ks. Nie-góral.***

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Projekt Włobodowskiego wydał się Padydze dobrym. Gromadnie jeżdżąc niewieleby zyskać mogli. Hajdamacy łacno ich dostrzegą i postarają się wtedy ukryć, gdy tymczasem pojedynczo rozrzuceni, mając wszakże wiadomy punkt zborny, prędzej mogliby skutek wyprawy osiągnąć.

Słowom Włobodowskiego przyklasnął i Karski, oraz cała kompania zgoła. Tedy odjechawszy sporo od kleci, w której Ołenkę spotkali, przystanęli na niewielkiej polanie i naradzać się poczęli o sposobie dalszej wyprawy. Rozpoczęły się żywe rozprawy i tak się zagrzewały, że już, już miało przyjść do sporów. Nagle ozwał się Karski.

— Baczność! mości panowie!.... spojrzyjcie het tam!

Umilkli spierający się, spojrzeli i dostrzegli z poza drzew polanę okalających wysuwającego się jeźdźca. Ten i ów coś mruknął, domysłem rzucił, Padyga zasię baczniej spojrzawszy, poznał jeźdźca.

— Ba! Toć to stary Zachar ze Stepanowa. Co on tu robi?

Znała szlachta Zachara z tego powodu, że jakośmy już wspominali dawniej, stary za znającego się na chorobach uchodził, używano go tedy chętnie w potrzebie.

— Zachar? — powtórzył Włobodowski — skąd się wziął?

— Co robi? Skąd się wziął? — powtarzali inni.

A stary, chociaż zoczył przed sobą ludzi, nie zboczył z drogi, wprost jechał, niby umyślnie do nich. Znalazłszy się wreszcie tuż, stanął, podziw okazując. Otoczono Zachara, który, z konia zsiadłszy, czapkę zdjął i nisko się kłaniał zgromadzonym.

— Co tu robisz? Gdzie jedziesz? Skąd wracasz? — obsypywano pytaniami.

— Wielmożni panowie — odparł stary — nie dziw, żem do lasu się wybrał. Ziela mi potrzeba na leki, mchów, liści.

Szlachta znaczącemi wejrzeniami się dzieliła — szeptali między sobą.

— Dawnożeś z domu? — zwrócił się Padyga.

— Trzeci dzień.

— Hm.. i tylko na zbieranie ziół wyjechałeś?

— Cóżbym innego miał do roboty w lesie — odparł stary dziwnie drżącym głosem, przyczem mu twarz nagle się zmieniła, drżały mu usta.

— Ejże, dziadu, kłamiesz — surowo ozwał się Padyga. — Trzeci dzień zioła zbierasz, a gdzież one?

Stary uśmiechnął się.

— Nie znalazłem jeszcze takich, jakich mi trzeba. Wielmożni panowie, wszak wiecie, że zioła są różne, a czasem kraj świata przejedziesz, zanim na potrzebne trafisz.

Odpowiedź starego była rozsądna, nie można mu było zarzucić fałszu.

— A... nie słyszałeś co o hajdamakach? — po chwili zagabnął Włobodowski.

— Niechaj ich — syknął Zachar. — Ja z nimi nic nie mam do czynienia.

— Tego nie mówię, a pytam dlatego, że jeżdżąc po lasach mogłeś ich widzieć, na ślad trafić.

— Nie pokazują się łotry te każdemu, a do mnie starego nie mają po co wychodzić. U mnieby nic nie znaleźli. Wiedzą oni, komu drogę zajść, wiedzą...

Padyga na starego poglądając, coś przemyśliwał, szlachta pomiędzy sobą coś szeptała.

— A w Stepanowie co mówią? — zapytał nagle Padyga.

— W Stepanowie? — powtórzył stary, ramiona podnosząc. — Cóżby mówić mieli? Każdy doma siedzi, bojąc się nosa wytknąć, aby go czarna śmierć nie tknęła. Ja nie wiem nic. Stary jestem, na ludzi nie patrzę i słuchać ich gadań nie chcę. — Co mi po tem?

— Więc gadają coś? — dopytywał Padyga.

— Toć... niby... coś tam.. — mruknął stary niechętnie. — Ano, wy panie wielmożny najlepiej o wszystkiem wiecie.

Spojrzał w oczy Padydze znacząco.

— Pan starosta spokoju niema — ozwał się Włobodowski. — Zapewne odgraża się na nas, łby obiecuje pościnać, gdy wrócimy.

— Hm... panie wielmożny — cichym głosem podjął Zachar. — Jasnemu staroście mówić wolno. Odgraża się on, klnie, rzuca, jeno nie wiem, czy odgrózki jego na co się przydadzą.

Podczas rozmowy całej znać było, że stary walczył ze sobą. Oczy wilgotne błyszczały dziko, palce drgały, kurczyły się, głos brzmiał dziwnie. Nagle, przedsięwziąwszy coś stanowczego, przeżegnał się i do Padygi podsunął.

— Et... panie wielmożny... gadamy z sobą próżnie. Powiem wam to, co mi na sercu leży, chociaż ciężko mi przyjdzie, bardzo ciężko. — Wiem ja, że pannoczki szukacie, wiem co jasny starosta zamyślił... i to wiem, jak z wami poczynał, ano Bóg sprawiedliwy jest, krzywdy sierocej nie dopuści. Śmiech was, panowie wielmożni, weźmie, gdy powiem, że ja, człek prosty, pomagać wam zechcę.

Szlachta ścieśniła się naokoło mówiącego, słowa starca zaciekawiły wszystkich.

— Nieboszczyk podczaszy, och! człek był jakich mało. Do zdechu chwalić go będę i bardzo żałować. Mnie samemu w potrzebie rękę podał, ano, wreszcie przyszła zła godzina, to i nieszczęście go spotkało. Dowiedziałem się o tem bodaj najpierwszy, a dowiedziawszy, serce mi się ścisnęło. Ha, wola Boża, rzekłem, niema co narzekać, jeno z rąk łotrów panienkę uwolnić. I myślałem, że pan starosta, skoro się dowie, wnet roześle pogoń. Stało się inaczej. Tedy ja sam, ot stary a prosty człek, widząc, że córka dobrodzieja mego zginąć może marnie, zamyśliłem ją odszukać. Wiedziałem i to, żeście wy, panowie wielmożni, zamyślili toż samo.

— I cóżeś dotąd zrobił? — przerwał niecierpliwy Karski.

— Prawie że nic. Ślad mam, więcej dopytać nie mogłem.

— Masz ślad? Masz? — posypały się pytania.

— Bóg prowadził, natrafiłem. Juści kto inszy nie mógł panienki pochwycić, jeno Hriszka Kosooki, wyjechałem go szukać i spotkałem.

— Gdzie? Jakżeś trafił?

— Wracam od niego — omijająco mówił Zachar. — Tylem się dowiedział, że on a nie kto inszy panienkę porwał, i że ją zaprzedał żydowi.



...słowa starca zaciekawiły wszystkich...

Krzyki zgrozy wyrwały się z piersi słuchaczy. Padyga zbladł, zęby ściął, szepnąwszy Karskiemu.

— Nie chcę ja być złym prorokiem, ale... kto wie, czy...

Urwał, głowę opuścił.

— Komu zaprzedał, dowiedzieć się nie mogłem w żaden sposób, ano, być może, panowie temu zaradzić potrafią.

— Zaradzić? — smutnie szepnął Padyga.

— Ja byłem sam, jeno pięść gołą a dobre serce miałem w pomoc.

— Rozumiem! — zawołał Karski. — Zaprowadzisz nas stary do kryjówki łotrów, my z nich wydusimy tę wiadomość. Nieprawdaż? To na myśli miałeś.

Zachar milczał, brwi zsunął posępnie.

— Bóg ci zapłać, starcze, za tę wiadomość — ozwał się Padyga, nieco ożywiony — a waszmość, panie Zbigniewie, rozjaśniłeś mi w głowie. Palce Opatrzności jawny, teraz nadzieję mam zupełną dobrego skutku.

— Bodajby aspana słowa świętemi się stały! — dodał Włobodowski.

— I staną się, staną! — gorąco przemówił Zbigniew. Przeczucie mam dziwnie stanowcze, że pannę podczaszankę odzyszczemy.

Padyga uścisnął go z rozrzewnieniem.

— Poczciwyś, panie Zbigniewie, kocham cię za to, wierzaj mi.

Otuchy nabrali wszyscy, twarze się rozjaśniły. Po ogólnej a krótkiej naradzie stanęło na tem, jak Tyszka rzekł, że Zachar prowadzić miał. Obiecywał starzec pomyślność w przedsięwzięciu, radził jednak baczność wszelaką, gdyż, jak powiadał, hajdamactwo chociaż z tałałajstwa złożone, liczbą przewyższało kompanię poszukiwaczy, do tego jeszcze mieli łotrzykowie broń i na odwadze im nie zbywało.

Koniec końców, mieli wyruszyć pod wieczór, iść cicho, by przedwcześnie się nie zdradzić, siedzibę łotrów odkryć, ich samych pochwycić i następnie indagować. Osobliwie zalecał Zachar pochwycenie przywódcy bandy.

— Gdy ten nam umknie — mówił — wszystko za nic. On jeden wskazać może, gdzie się panienka obraca.

Dobrą myślą przejęci, humoru też wyśmienitego byli szlachcice, że zaś do wieczora kawał czasu zostawał, roztasowali się na polanie i żwawą gawędę zaczęli.

Jeden tylko Zachar smutny był a posępny. Na boku siadł, poczęstunek ofiarowany mu odsunął, czapkę na oczy nacisnął i myślał, twarz rękoma zasłoniwszy. Czasami z ust mu się wyrwał wyraz dziwny, na co jednak nikt uwagi nie zwracał.

Cierpiał bo starzec, rodzonego syna oddawał w ręce sprawiedliwości ludzkiej, krew własną poświęcał dla prawdy. Zaiste ofiara jego była wielka!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Widziało mi się, ze kandydować na posła, to okropnie łacwa rzec, a tu przecie nie całkiem. Myślałem, ze ino swoją kandydaturę ogłosę, to się ludziska do mnie rzucą i za nogi mnie obejmować będą, a gadać i prosić będą:

— Kandyduj, Maciuś, kandyduj i bądź nasem posłem na wieki wieków amen!

Tak mi się widziało, a tu temcasem jest ínacy. Tyla się tego tałatajstwa kandyciarskiego namnozyło, ze trudno rozeznać, kto chce la ludzi dobra a kto la siebie. Narzykali ludzie, ze przed śtyrema laty było duzo stronnictwów, a tu teraz jesce więcej ich wyłazi i ciągiem wyłazą, jak grzyby po dyscu. Zdawało mi się, ze to i la mnie będzie korzystniejse, bo łacwiej się do którego przycypię, ale gdzie tam!

Jag gospodarz padają, to juz teraz jest ośmiuset chłopa, coby chciało być posłami a ci ośmiuset tworzą dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć stronnictw. Gospodyni mi radzą, cobym ja se utworzył tysięcne stronnictwo. I moze to będzie najlepsi, bo będę sam prezesem, wiceprezesem, sekretarzem i kasyerem w jednej poprządnej osobie. A gospodarz okropnie kręcą na to głową i padają, co to nie uchodzi.

Acha, juści! A u Stojałowcyków do niedawna był ino prezes Stojałowski, wiceprezes Siajer, a sekretarza i kasyera nie było. Dopiro, jak Paducha z Koła polskiego wylali, to posed do Stojałowskiego na kasyera. Zacął bidak od zydów brać grajcary, ale go znowu ugryz Kanarek i zrobiła mu się klapa. La tego i ja pewnie urządzę se własne stowarzyszesenie polityczne.

Do wsichpolaków przystawać nie chcę, boby mnie wstyd było z niemi razem kompanić. Co prawda, to do wsichpolaków najłatwi wliść, bo jak gdzie kogo z którego stronnictwa wyleją, to oni go łapią i ciesą się niem, jak znalezioną owiecką. Nie chciał nikt Stojałowskiego, to oni se go wzięli, nie chciał nikt Paducha, to oni dalejze do niego! Zabreli se wszyćkich Siajerów i Wiącków, to niech se ich ta trzymają, ale ja porządny człowiek ze Siajerem i Paduchem kompanować nie chcę.

Do mojego stronnictwa juz mam jednego kamrata, a cłeka bardzo ućciwego. Nie wierzycie, to posłuchajcie, jak pise do mnie pan Pieter Lipowiak, wójt i nacelnik gminy:

Chciałbym wzlecieć nad poziomy,
Gdzie latają kawki, wrony!
Chciałbym widzieć kawał świata,
Gdzie Maciek na kandydata
Stawi swoją mądrą głowę...
Ja mu głos dam — daję słowo!

Widzicie, ze juz będzie prezes i wiceprezes, a co za tem idzie poseł i zastępca, a moze kiedyś, kiedyś i dwa ministry.

Z TYGODNIA.

Zasłużona gazeta. W tym roku obchodzi 100-letni jubileusz »Gazeta Lwowska«, organ rządu krajowego. Jest to jedyne pismo na obszarze ziem polskich, które wychodzi bez przerwy od stu lat. Patrzyła ona na wiele dobrych i złych chwil, jakieśmy przez cały wiek przeżyli i wiele mogłaby o nich powiedzieć.

Dziesiąta rocznica Wrześni. W kwietniu b. r. upływa lat 10, jak w szkole ludowej we Wrześni, w W. Ks. Poznańskiem, rząd pruski zaprowadził drogą gwałtu niemiecki wykład religii w miejsce polskiego. Pamiętna i bolesna to chwila w życiu społeczeństwa polskiego pod jarzmem pruskiem. Pamiętamy wszyscy znęcanie się niemieckich nauczycieli nad polską dziatwą za to, że w szkole chciała do Boga modlić się po swojemu: »Ojcze nasz, któryś jest w niebie«... Wypadki te pociągnęły strajk dzieci szkolnych, których rodzice polscy przestali posyłać do szkół, nie chcąc, by słów wiary św. słuchały tam w obcym i niezrozumiałym języku. Odbył się następnie przeciwko nim słynny w swoim czasie na cały świat proces w Gnieźnie. Wówczas narody Europy dowiedziały się za pośrednictwem pism francuskich, angielskich i katolickich niemieckich, jaka krzywda dzieje się Polakom pod rządem pruskim, który, odebrawszy nam język ojczysty w urzędzie i szkole w zakresie wszystkich przedmiotów, nie pozwala nawet małym dzieciom polskim odmówić pacierza w języku ojczystym.

Na wiarę katolicką. Odkąd na podstawie ukazu carskiego wolno prawosławnym przechodzić na wiarę katolicką, ciągle gazety przynoszą wiadomości, że w tej czy owej guberni, powiecie, czy mieście Królestwa Polskiego, Litwy lub innego kraju, pewna ilość mieszkańców przeszła na łono naszego Kościoła. Mimo pozwolenia carskiego, władze rosyjskie, pod wpływem popów prawosławnych, robią ogromne trudności ludziom, pragnącym żyć dalej w prawdziwej wierze. Przechodzenie na naszą religię jednakże nie ustaje. Obecnie donoszą gazety, że w guberni lubelskiej znaczna ilość osób wniosła do władz prośby o przejście z prawosławia na katolicyzm.

Ładna konstytucya? Rosya niby to ma konstytucyę i prawa, a w rzeczywistości jest tam absolutyzm po dawnemu i rząd robi, co chce. Obecnie Duma toczy wojnę z prezydentem ministrów Stołypinem, który sobie ją lekceważy, na jej posiedzenia nie chodzi i wogóle jej uchwał słucha tylko jakby z łaski. Duma już kilkakrotnie uchwaliła Stołypinowi nieufność, mimo to on dalej rządzi. W innym konstytucyjnym kraju nie miałby już nic do roboty po takiej uchwale; musiałby ustąpić a na jego miejsce przyszedłby inny. Stołypin jednak obojętny jest i myśli sobie o Dumie: gadaj sobie, co ci się podoba, a ja swoje będę robił i nawet otrzymuje od cara odznaczenia i podziękowania za »zasługi«, jakie niby to położył dla dobra Rosyi.

Rewolucya o szampan we Francyi już się zakończyła. Potrzeba było zgromadzić aż 25 000 wojska, żeby winiarzy szampańskich uspokoić. Aresztowano około 200 winiarzy, którzy największe robili awantury, chcąc przez to nastraszyć państwo, aby nie znosiło granicy, w której wolno wyrabiać szampan. Szkoda, jaką wyrządzili rewolucyoniści sobie i państwu, przez zniszczenie zapasów szampana, spalenie fabryk i winnic wynosi 20 milionów kor. Stłuczono 6 milionów flaszek szampana i rozbito 20 beczek, zawierających 2000 litrów szampana. A wszystko to zrobiła chciwość zysku i zazdrość, że inni winiarze będą mogli także wyrabiać szampan.

KRONIKA.

Arcybiskup warszawski ks. Wincenty Popiel, który niedawno podźwignął się z ciężkiej choroby, znowu zaniemógł i lekarze obawiają się o życie dostojnego starca.

Zderzenie pociągów. (R. Sz.) W nocy z poniedziałku na wtorek t. j. dnia 19 kwietnia, w Karwinie, na Śląsku, najechał pociąg towarowy na jadący pociąg z węglem. Hamowniczy, który siedział w budce na wozie, wskutek uderzenia upadł z budką na tor i wskutek stłuczenia przez godzinę był w nieprzytomności. Dopiero po godzinie powstał, o własnych siłach, bo nikt nie zauważył jego upadku i dziwnym trafem nie odniósł żadnej rany, tylko ręce miał nieco przygniecione. Większa część wozów z węglem i maszyna uległy zniszczeniu. Powodem zderzenia było nieprzełożenie zwrotnicy.

Pożary. (R. S.) Dnia 20 kwietnia wieczorem o godz. 8 wybuchł pożar w miasteczku Frysztacie, na Śląsku. Pożar zaczął się z szatniego sklepu i zanim straż ogniowa nadjechała z pomocą, zajęły się od ognia dwa budynki. Pożar pochłonął sklep szatni, zegarmistrza i gospodę. Z jakiej przyczyny powstał, nie wiadomo.

(A. H.) Dnia 23 kwietnia b. r. we wsi Zdrochec, w powiecie brzeskim, wybuchł nagle pożar o godz. 12 min. 15 popołudniu, który zniszczył doszczętnie 27 domów i zabudowań gospodarczych. Przytem została jedna kobieta bardzo poparzona. Odwieziono ją natychmiast do szpitala w stanie beznadziejnym. Przyczyną pożaru były dzieci, bawiące się zapałkami i papierosami. Pożar był bardzo gwałtowny, gdy więc przybyły ochotnicze straże pożarne z miejscowych gmin Przybysławic i Pasieki otfinowskiej i inne za niemi, nie było ratunku, gdyż domy blisko są siebie. Biedni ludzie zostali bez dachu i chleba w wielkiej nędzy.

(Z. B.) **Złodziej w łaźni.** Pewnemu cieśli z Lubatowej zachciało się wykąpać w łaźni żydowskiej w Jaśliskach przed świętami, poruczył więc swoją gotówkę żydkowi, dozorcy łaźni do przechowania, dopóki się nie wykąpie, wynagradzając go należycie. Nieszczęście chciało, iż żandarmerya miejscowa zwęszyła, iż on posiada większą kwotę, aniżeli biedny robotnik cieśla może posiadać i aresztowała go. Podczas badania wyznał, iż skradł w Lipowcu 600 koron wieśniakowi, który powrócił z Ameryki, jakoteż iż za kradzież był już karany kilka razy, — (przed 4 laty ukradł 50 koron mieszczaninowi jaśliskiemu Antoniemu Boyanowi) a nawet 3 lata siedział na Wiśniczu. Tak więc święta wielkanocne spędzić musiał za kratą, pokutując za grzechy.

Jak pijacy kończą? (M. W.) Przy stacyi Mościska jest wyszynk, w którym się schodzą sami najwięksi pijacy. W wielkim tygodniu stało się coś strasznego w owym szynku. Pewien człowiek, znany jako nałogowy opój, przyszedł sobie do szynku, napił się wódki, położył się na ławę i już więcej nie wstał. Drugi pijak, spostrzegłszy nagłą śmierć towarzysza, tego samego dnia rozum postradał, tak że go musiano odwieźć do Lwowa na Kulparków. Oto do czego wódka prowadzi!

Sto dziesięć lat przeżył niejaki Ignacy Szymkowski, majster krawiecki w Kwilczu, w W. Ks. Poznańskiem. Rzadko kto doczeka tak późnego wieku, to też gdy taki wypadek się zdarzy, gazety całego świata powtarzają go jedne za drugiemi. Jest bądź co bądź niezwykła żywotność w naszym narodzie, gdy podobne wypadki długowieczności zdarzają się na naszych ziemiach.

Skutki czytania złych książek. Od kilku lat w setkach tysięcy egzemplarzy po całej Europie rozchodziły się tłómaczone na różne języki — i na polski również — powieści i opowiadania osnute na tle przygód sławnego angielskiego ajenta policyjnego Sherloka Holmesa. W książeczkach tych opisane są najrozmaitsze morderstwa, kradzieże, oszustwa, dokonywane przez najsprytniejszych rzezimieszków, których następnie w całym świecie ściga ów Holmes, znakomity policyant, odnajdujący ich i skarby przez nich zrabowane z nieprawdopodobną zręcznością i prawie jasnowidzeniem. Nasze miasta, miasteczka a i wsie niektóre również bywają zarzucane temi policyjnemi powieściami. Niestety czytanie ich, szczególnie na młode umysły, działa bardzo szkodliwie. Młody chłopiec gorączkuje się temi historyami, marzy się niejednemu, że sam może być takim sprytnym agentem jak Holmes, innemu znów zbrodnicze myśli przychodzą do głowy — a jak ukrywać się po dokonaniu przestępstwa, dowiaduje się z tych właśnie książek. Wiele też było już szczególnie w wielkich miastach wypadków, że młodzi zbrodniarze, po wyśledzeniu ich przez władze, przyznawali się, że zbrodni dokonali pod wpływem czytania opowiadań o Sherloku Holmesie.

Podobny wypadek zdarzył się świeżo w Warszawie. W piątek dnia 21 b. m. w jednym z hoteli tamtejszych został zamordowany w samo południe 53-letni dzierżawca hotelu Antoni Kałka. Mordestwa dokonał jeden z mieszkańców hotelu, który najął tam pokój przed kilku dniami. Zgroza pomyśleć, że był to 16-letni zaledwie wyrostek! Gdy w piątek, w południe, przekonał się, że służby hotelowej niema, a mieszkańcy pokoju też wyszli na miasto, zbrodniczy chłopiec wszedł do kancelaryi Kałki i rzucił się nań, zadając mu nożem kilka ciosów w głowę i szyję. Napadnięty, człowiek wątły i słaby, począł uciekać, lecz padł na korytarzu, a młody zbój jeszcze raz ugodził go w szyję nożem. Następnie Tauber (tak się zameldował w hotelu), przebrał się szybko w swoim pokoju i wyszedł na miasto. Wieczorem w jednym z ogrodów publicznych, gdy z zajęciem czytał gazetę, która już donosiła o morderstwie przezeń spełnionem, został przez ajentów policyi śledczej aresztowany. Zaprowadzony na policyę przyznał się, że pod wpływem czytania opowiadań policyjnych Sherloka Holmesa powziął zamiar zostania zbrodniarzem. Już przed paru tygodniami w mieście Łodzi w Królestwie udało mu się pod grozą rewolweru wydrzeć od pewnego pana 500 rubli, za te pieniądze wyjechał do Krakowa, gdzie się bawił wesoło, a następnie powrócił do Warszawy i dokonał morderstwa. Z tego nauka, że w miasteczkach, na jarmarkach, czy gdziekolwiekby się pokazały broszurki z powiastkami Holmesa nie należy ich kupować, bo czytanie ich jest trucizną i nieszczęściem szczególnie dla młodych!

Napad na dwór. We wsi Ternówce, w guberni kijowskiej, mieszka we dworze p. W. Czerniejewski, Polak, dzierżawca tej wsi. Przed niedawnym czasem ostrzegła go miejscowa policya, że przygotowuje się na niego napad bandycki. Odtąd p. Czerniejewski miał się na ostrożności i tak on, jak stróż, oraz najstarsza córka, spędzili pięć nocy z bronią w ręku u okien dworu, wyglądając pilnie, czy zbóje nie nadchodzą. Wreszcie szóstego dnia wieczorem, około godz. 10, drzwi ganku otworzyły się cicho i na ganku stanęło trzech drabów: twarze osmolone na czarno, łby kudłate, oczy w okularach, brody przyprawione. Dwaj, z rewolwerami w rękach, zbliżyli się ku drzwiom, wiodącym do sieni, próbując je otworzyć. Lecz założone sztabą żelazną drzwi

oparły się naciskowi. Trzeci drab równocześnie strzelił w okno, za którem, poza uchyloną okiennicą, czuwał p. Czerniejewski. Wystrzał bandyty był bezskuteczny, zato p. Cz. dał ognia tak celnie, że ugodził zbója kulą w głowę. Równocześnie strzelił kilkakrotnie z innego okna stróż. Naokoło domu rozległy się krzyki, wołania, wybiegła służba, wyszedł p. Czerniejewski z dworu i oto jaki przedstawił się im widok. Przed gankiem leżał jeden rabuś z rozbitą głową, dalej na wznak drugi, raniony śmiertelnie i trzeci opodal konający. Wyjątkowy to wypadek w Rosyi, że napadnięci się obronili, a zbrodniarze zginęli. Przeważnie bywało odwrotnie, a obrabowanych i zabitych niewinnych ludzi doprawdy trudnoby nawet zliczyć.

Trudny pogrzeb. W górach tyrolskich, w kamieniołomach, pracował pewien sędziwy robotnik i raz, tknięty nagle udarem serca, zmarł. Towarzysze znaleźli się w wielkim kłopocie, w jaki sposób na dół do miasteczka zwłoki sprowadzić, bo w miejscu, gdzie robotnik ów zmarł, drogi nie było, tylko kamieniste ścieżki, wóz zaś na zmarłych, t. zw. trupiarka, dostać się mógł tylko z wielką biedą po zawalonej głazami drodze o parę kilometrów niżej. Ostatecznie jeden z robotników poszedł na dół dać znać o wypadku rodzinie i władzy, oraz sprowadzić wóz, inni zaś wzięli nieboszczyka na ręce i zwolna nieśli po urwistych ścieżkach.



Gdy wreszcie wóz nadjechał i zwłoki doń złożyli okazało się. że droga jest tak stroma, że z końmi wóz zjechaćby nie mógł, odprzężono je więc i, jak to widzimy na obrazku, siedmiu ludzi z największym wysiłkiem, wstrzymując koła i dyszel, sprowadziło na dół czarny posępny wóz umarłych ze zwłokami towarzysza pracy. Biedak za życia nie naprzykrzał się nikomu, dopiero ciężko było z nim przez parę godzin po śmierci.

Żydowski spryt. Gazety rosyjskie doniosły niedawno o powstaniu w Odessie »Towarzystwa żydów, modlących się za monarchię i rząd«. Historya powstania Towarzystwa tego jest taka: Niejaki Mojżesz Kenis, utrzymujący szkołę żydowską, urządzał w niej w czasie świąt żydowskich w celach spekulacyjnych zebrania żydowskie. Ponieważ ten dom modlitwy narażał na straty sąsiadującą z nim stałą synagogę, rada duchowna zabroniła Kenisowi wytwarzać nadal konkurencyę. Wtedy Kenis wywiesił na oknie napis: »Synagoga modlących się za cara«. Sędzia skazał go mimo to za pogwałcenie postanowienia rady duchownej na grzywnę 16 rubli. Kenis zwrócił się wtenczas do ministerstwa spraw wewnętrznych z prośbą o pozwolenie na urządzenie w szkole w większe święta zebrań modlących się. Prośbie tej odmówiono dlatego, że nie można uważać modlitwy za cara za specyalną osobliwość tego domu modlitwy, a po drugie dlatego, że w otrzymaniu pozwolenia tego zainteresowany jest materyalnie sam Kenis. Kenis nie dał jednak za wygraną i zwrócił się do ministerstwa spraw wewnętrznych z prośbą o pozwolenie na zorganizowanie »Towarzystwa żydów, modlących się za monarchę i rząd«.Tym razem jego prośbie stało się zadość! Żyd zawsze postawi na swojem: wyrzuć go drzwiami, to on wlezie oknem.

Najbogatszy złodziej. Pocztylion w Błagowieszczeńsku, w Rosyi, rozpruł worek pocztowy z przesyłkami pieniężnemi, skradł zeń 200 000 rubli i uciekł. I dlatego, tak długo, dopóki go nie złapią, będzie on chyba najbogatszym w świecie złodziejem.

Śmierć, dyabeł i 5000 koron. W jednej z wiosek górnej Austryi żyje starsza włościanka bezdzietna, której mąż przebywa w Ameryce. Pewnego dnia otrzymała z poczty z pobliskiego miasteczka zawiadomienie, że przysłano do niej z Ameryki 5000 koron. Gdy się natychmiast zgłosiła na pocztę, urzędnik ją objaśnił, że pieniądze zostaną jej wydane, gdy przyprowadzi ze sobą dwóch poważnych, piastujących urzędy w gminie, a znanych mu świadków, którzy potwierdzą tożsamość jej osoby. Usłyszawszy to kobieta, poszła zaraz do miejscowego wójta z prośbą, aby z jednym z radnych poszedł z nią na pocztę i tam potwierdził, że ona jest w istocie tą właśnie, dla której 5000 kor. przyszło z Ameryki. Wójt jej powiedział, że jego chodzenie do urzędu pocztowego zbyteczne i da jej potwierdzenie na piśmie, przyłoży na niej pieczęć gminną, a to zupełnie wystarczy. Tej samej nocy, gdy twardo już spała, zbudziło ją w izbie nagle zaświecone światło. Zerwała się, usiadła na łóżku, i aż straciła głos z trwogi, bo oto na środku izby ujrzała ni mniej ni więcej tylko czarnego dyabła z rogami, a obok niego w białe prześcieradło przybraną śmierć. Ta ostatnia trzymała jasno płonącą gromnicę, a dyabeł prawił jej grobowym głosem:

— Kobieto, ja i moja siostra, śmierć, przyszliśmy ci powiedzieć, że pieniądze, które ci mąż przysłał z Ameryki, ze złego źródła pochodzą, niegodziwym sposobem przyszedł on w ich posiadanie; gdybyś więc ich się tknęła, nietylkoby ci się nieszczęściło, lecz wkrótce moja, obecna tutaj najukochańsza siostra, przybyłaby do twego domu i od jednego zamachu swoją kosą sprzątnęłaby cię z tego świata. Jutrzejszej nocy przyjdziemy znowu do ciebie, aby wziąć te nieszczęsne pieniądze i od nagłego zgonu cię przez to uratować.



Gdy nazajutrz kobieta z potwierdzeniem wójta zjawiła się na poczcie, wywnętrzyła się przed urzędnikiem ze swej wielkiej troski. Przesyłka męża jej wcale nie cieszy i nic za nią nie kupi, gdyż objawiła się jej w nocy śmierć z dyabłem, a ten ostatni powiedział, że pieniądze musi im oddać, są bowiem nieuczciwie zdobyte, a gdyby je zatrzymała, nagła śmierć ją czeka. Urzędnik wysłuchał opowiadania, pieniądze kobiecie wydał, lecz gdy tylko progi urzędu opuściła, dał znać o »dyable i śmierci« żandarmom. Ci ukryli się późnym wieczorem opodal jej

domu, a gdy już noc głęboka zapadła i zobaczyli, że straszliwi goście weszli do jej chaty, wpadli zaraz za nimi, związali, zdarli maski z twarzy i zdumiona kobiecina przekonała się, że dyabłem był sam wójt, a śmiercią asesor, jego krewny!! — Obrazek nasz przedstawia tę niby to okropną nocną wizytę u łatwowiernej i zabobonnej kobiety.

Niedorzeczny figiel żołnierza. Młodym ludziom głupstwa często przychodzą do głowy, nieraz nieszkodliwe ani dla nich, ani dla otoczenia, ale czasem niewczesny żart ciężko się pomści na tym, kto go wymyślił. Pewien żołnierz w Semmeringu pod Wiedniem, podpiwszy sobie w towarzystwie dwóch kompanów, postanowił przestraszyć stojącego na warcie rekruta. W tym celu, przed paru dniami, około godziny 11 w nocy zaczęli wszyscy trzej tajemniczo podkradać się ku niemu pod murem budynku wojskowego, gdzie właśnie rekrut ów stał na warcie. Młody żołnierz, dostrzegłszy w cieniach nocy jakieś podejrzane postacie, uczynił tak, jak służba nakazuje, t. j. gdy na jakie 30 kroków się zbliżyli, zawołał: stój! kto idzie? Kiedy po trzykrotnem takiem zawołaniu nie otrzymał odpowiedzi, zmierzył i wystrzelił z karabinu.



Na odgłos strzału wybiegli z koszar żołnierze, mający tej nocy służbę i świecąc latarniami, dostrzegli leżącego we krwi, owego właśnie żartownisia, który srogo odpokutował swój żart. Rana, którą otrzymał, jest ciężka i kto wie, czy zdrowie kiedy odzyska. Smutny ten wypadek przedstawia nasza rycina.

Skok z wieży Eifel. Wieża Eifel, jakkolwiek obecnie przestała już być nadzwyczajnem zjawiskiem, jak to było w czasie jej powstania w r. 1889, przecież jednak do dzisiejszego dnia każdy cudzoziemiec, bawiąc w Paryżu, uważa niejako za swój obowiązek dostać się na jej szczyt, wysłać z urzędu pocztowego, w jej wnętrzu umieszczonego, kilka widokówek. Przed kilku dniami wśród wielu innych gości zwiedzał wieżę Eifel kupiec z Petersburga, Borys Komarow, w towarzystwie pewnej pani. Komarow z towarzyszką, wysiadłszy z windy na pierwszej platformie, usunął się od towarzystwa i z nieznanego na razie powodu rozpoczął sprzeczkę z ową panią. Nagle po kilkominutowej wymianie słów, Komarow przeskoczył baryerę, otaczającą platformę i rzucił się w przepaść z wysokości 100 metrów. W kilka sekund później znaleziono u stóp wieży zmiażdżone jego członki. Co było powodem samobójstwa, nie zdołano na razie wykryć, gdyż towarzyszka Komarowa ulotniła się natychmiast po wypadku. Policya nie traci jednak nadziei, że zdoła ją w najbliższych dniach wyśledzić i w ten sposób na podstawie jej zeznań wyświetlić całą sprawę.

Pięćdziesiąt milionów długu potrafił w ciągu paru lat zrobić w Berlinie syn amerykańskiego milionera, właściciela niezliczonych browarów piwa, niejaki August Thyssen. Oczywiście wysokość długu musi być przesadzoną, bo dokoła tak bogatego pana kręciły się roje wyzyskiwaczy, którzy, gdy chwilowo był bez gotówki, chętnie mu pożyczali, lecz na bardzo wysokie procenty. Ze zgłoszonych wierzytelności sąd berliński uznał jako rzetelne tylko $3\frac{1}{2}$ miliona marek. Choćby nawet w istocie długi pana Thyssena wynosiły tę kwotę, to i tak daje ona miarę olbrzymiego majątku ojca, którego syn może zaciągać takie długi. Już jeden milion, to ogromna kwota, bo, jak wiadomo, milion, to tysiąc tysięcy!

Angielska królowa Elżbieta — mężczyzną. W wielu pamiętnikach z czasów panowania królowej angielskiej Elżbiety, istnieją wzmianki, że królowa była przebranym mężczyzną. Obecnie pisarz angielski Braun Stiker w dziele, zatytułowanem: »Sławni oszuści« twierdzi, że fakt ten, zważywszy charakter Elżbiety i jej czyny, jest możliwy, istnieje nawet legenda o podstawieniu chłopca. Według tej legendy mała, chorowita księżniczka Elżbieta została w celach leczniczych wysłana w towarzystwie swej guwernantki do Bisley i zmarła tam nagle w r. 1544 w przededniu wizyty swego ojca, króla Henryka VII. Guwernantka, przerażona śmiercią i obawiając się gniewu króla, tem bardziej, że śmierć księżniczki nastąpiła podobno z braku nadzoru, schowała córkę zmarłej w ogrodzie, pobiegła na wieś w poszukiwaniu dziewczynki podobnej do zmarłej. Podstawienie ułatwiała ta okoliczność, że król widział swą córkę nie więcej niż dwa razy w całem jej życiu i do tego na 2—3 lata przed wypadkiem. Jednak na nieszczęście dla guwernantki, nie mogła ona nigdzie znaleźć dziewczynki. Wtedy zrozpaczona, wiedząc, iż chodzi tu o jej głowę, wzięła małego sierotkę, Neville, który często bawił się z księżniczką i odznaczał się niezwykłą urodą i delikatnością rysów, przebrała w suknie zmarłej i nauczywszy, jak ma się zachować, przedstawiła królowi jako córkę.

Ta sama guwernantka wychowywała tego to chłopca aż do 15 roku życia. Legenda nie mówi nic, tylko w jaki sposób później, kiedy Elżbieta wstąpiła na tron, zapewniono także milczenie osób wtajemniczonych, czy je przekupiono, czy też wprost pozbyto się ich.

Zemsta narzeczonej. Z Chicago donoszą, że pewna młoda Dunka zastrzeliła swego narzeczonego, zabarykadowała się następnie w pokoju i broniła się przed policyą z rewolwerem w ręku przez kilka godzin. Zajście to opisują jak następuje: Owa panna odwiedziła narzeczonego, fotografa, i zapytała o fotografie, które jej wykończyć zamierzał; nagle wydobyła rewolwer, dając do niego kilka strzałów. Narzeczony padł na miejscu trupem. Wtenczas zamknęła na zasówkę drzwi mieszkania, zastawiwszy drzwi i okna wszystkiemi meblami. Mieszkańcy domu nie mogli dotrzeć do miejsca katastrofy; policyę przyjęła szalona kobieta wystrzałami rewolwerowymi. Dopiero po kilkodzinnem oblężeniu powiodło się policyantom ją ubezwładnić. Oświadczyła, że zastrzeliła narzeczonego z zemsty, ponieważ wzbraniał się poślubić ją. Ileż to osób oświadcza się, ot tak dla żartu, nie bacząc, że swą lekkomyślnością zwichnie często życie łatwowiernej dziewczynie.

Wybór śmierci. Skazańcy wybierają sobie śmierć w Stanie Newada w Ameryce. Ten stan nie posiadał wcale kodeksu praw. Obecnie ustanowiono komisyę dla utworzenia go. Komisya między innemi zaprojektowała, żeby skazani na śmierć mieli prawo wybrać sobie rodzaj stracenia. Dotychczas skazańców poprostu wieszano. Teraz będą oni mogli wybierać pomiędzy powieszeniem i otruciem kwasem pruskim. Szczęśliwi skazańcy, którym uczyniono takie dobrodziejstwo!

Lwom na pożarcie! To, co przed dwoma tysiącami lat spotykało pierwszych chrześcijan, których okrutni cesarze rzymscy, Neron, Dyoklecyan i inni rzucali lwom i innym drapieżnym zwierzętom na pożarcie, a sami w zapełnionych tysiącami ludzi cyrkach, w otoczeniu dworu z rozkoszą przyglądali się ich mękom, (co prześlicznie opisał największy dziś pisarz polski Henryk Sienkiewicz w powieści, osnutej na tle straszliwych dla wyznawców Chrystusa Neronowych czasów), to dzieje się dzisiaj jeszcze w państwie Marokko, w Afryce. Panuje tam od trzech lat okrutny sułtan Mulej Hafid. Dla takiego samowolą rządzącego się cesarza niema miary w karaniu nietylko wielkich zbrodni i mniejszych przewinień, ale wszystkiego, co mu się tylko nie podoba. Pozbawiwszy brata, Abdul Azisa, tronu marokkańskiego, rządy swoje zaczął od tego, że brata z kraju wypędził, a zwolenników jego skazywał co dnia prawie na śmierć. Gdy zaś wpadł mu w ręce jeden z najwybitniejszych jego przeciwników, który mógłby nawet był sułtanem zostać, a przed srogością jego długo się ukrywał, rzucił go trzymanym w swych ogrodach lwom na pożarcie i z radością przypatrywał się temu okropnemu widowisku.



Teraz znów tą samą śmiercią ukarał trzy murzynki, dozorczynie haremu, tj. żon swoich, których jak każdy wschodni władca, wyznający naukę Mahometa, posiada setki. Niektóre, najulubieńsze, mają wiele kosztowności, pereł, dyamentów i innych drogich kamieni. Otóż, gdy garść tych kosztowności zginęła jednej z jego żon, a sułtan zarządził obszukanie służących im kobiet i owe klejnoty u trzech z nich znalazł, tak straszną zgotował im śmierć, co właśnie przedstawia nasz obrazek.

Noc wśród wężów. Pewien Anglik, nazwiskiem Wells, opowiada w jednej z gazet londyńskich o przerażającym wypadku, jaki zdarzył mu się ubiegłego roku w Afryce, gdy polował tam na dzikie zwierzęta. Wraz z kilku murzynami, którzy mu służyli, znalazł się Wells na noc w dzikiej okolicy. Rozbili więc namiot, rozłożyli przenośne łóżko dla angielskiego podróżnika i zaświecili światło w namiocie, aby odstraszyć dzikie zwierzęta, a zwłaszcza węże jadowite, których dużo było w tych miejscach. Trzej murzyni służący mieli czuwać, zmieniając się kolejno, aby Wells choć parę godzin mógł się spokojnie przespać. Niestety wszyscy wnet posnęli i światło zgasło. Podczas tego zakradł się do namiotu i na łóżko Wellsa już się wczołgał wielki wąż. Anglik, śpiący czujnie, poczuwszy zimne dotknięcie, zerwał się z krzykiem, murzyni również się ocknęli, rozniecili ogień, a widząc co się stało, jeden, nie tracąc przytomności, w oka mgnieniu cisnął na węża młodego lamparta, którego ze sobą wozili. Lampart jest zwierzęciem drapieżnem, podobnie jak tygrys, różni się tylko tem od niego, że jest mniejszy i ma centki po sobie, a nie pręgi, ukąszenie zaś jadowitego węża nie szkodzi mu.



Wśród pisku, miauku i charczenia lamparta, oraz zaciekłego syczenia węża, trwała walka zwierząt długą chwilę, podczas czego ludzie mogli się cofnąć i nie obawiając się węża, zmaganiu się z nim drapieżnika przyglądać. Zażarty pojedynek lamparta z jadowitym gadem skończył się zagryzieniem go przez lamparta, który lubo wyszedł z walki srodze pogryziony, lecz uratował życie ludzi, a wkrótce z ran się wylizał. Opowiadanie swoje o tej przygodzie kończy Wells temi słowy: »Wiele w życiu podróżowałem, nie zbywa mi na odwadze, niejednemu niebezpieczeństwu śmiało zazierałem w oczy, polowałem na lwy i tygrysy w afrykańskich kniejach, ale żadne z przebytych niebezpieczeństw nie zostawiło mi po sobie tak grozą przejmującego wspomnienia, jak ta noc, spędzona wśród wężów«. Wypadki tej straszliwej nocy żywo przedstawia nasz obrazek.

(J. N.) **Liście z drzew jako pasza dla bydła.** Gdy u nas używanie liści z drzew na paszę dla bydła mało albo zupełnie nie jest w zwyczaju, za granicą przeciwnie, liście od dawna są znane jako wyborna pasza. W lecie służą za zieloną, w zimie zaś za suchą paszę; w tym ostatnim razie są daleko pożywniejsze, aniżeli gdy są zielone. W tym celu zbiera się liście w miesiącu wrześniu, nim same opadać zaczną; zbiór wykonywa się w dniu pogodnym i ciepłym albowiem wtedy ich wysuszenie odbywa się z łatwością. Kilka godzin ciepła słonecznego wystarczy do ususzenia rozpostartych na ziemi liści samych albo zebranych w gałązkach. Przed zachodem słońca należy je zbierać, aby na rosie nie odwilgły. Dobrze jest także przez 2—3 dni zostawić je w przewiewnem miejscu n. p. w otwartej szopie, zanim zostaną ułożone na schowek. Klon, brzost, osika, iwa i wszelkie gatunki wierzb szczególnie mają liście najpożywniejsze. Bydlęta jedzą je z chciwością, przeto najlepiej zbierać je na paszę.

Dla jedenastu rubli! We wsi Burkowce, na Wołyniu w państwie rosyjskiem, wydarzyło się w tych dniach wstrętne morderstwo. Sprawcy dopuścili się go z marnej chciwości zdobycia kilkunastu rubli. — Trzech chłopów tamtejszych dowiedziawszy się, że gospodarz, nazwiskiem Krawczuk, otrzymał właśnie tego dnia pewną kwotę pieniędzy za wydzierżawiony grunt, zaczaili się późnym wieczorem na niego, ubezwładnili, zakneblowali mu usta, zawlekli nad rzekę, zamordowali a trupa wrzucili do wody. Łupem podzielili się w ten sposób, że jeden trzymał 10 rubli, drugi 1 rubla, trzeci ubranie zdarte z zamordowanego. Na drugi dzień już ich aresztowano. Wypadek ten rzuca bardzo smutne światło na stosunki, panu-

jące po wsiach w Rosyi, gdzie dla drobnej kwoty spokojny włościanin został tak nieludzko zamordowany!

60 złotych wesel. Rzadką uroczystość, jak donoszą gazety francuskie, odbyła się w niedzielę palmową w kościele katedralnym w Reims, we Francyi. Oto kardynał tamtejszy po odprawieniu solennej Mszy św. udzielił błogosławieństwa sześćdziesięciu parom małżeńskim, obchodzącym złote wesele. Po uroczystości kościelnej staruszkowie, poprzedzani muzyką, grającą ochocze marsze, udali się na ratusz, gdzie burmistrz miasta, po serdecznej przemowie, wręczył im pamiątkowe medale.

Mięso ludzkie jako lekarstwo! Przed niedawnym czasem w Tokio, w okolicy Japonii, władze tamtejsze przypadkowo natrafiły na wielki skład różnych gatunków solonego mięsa ludzkiego, oraz marynowanych języków ludzkich. Handel tym niezwykłym towarem podobno był prowadzony cichaczem od kilku lat. Mięso ludzkie kupowali przeważnie zabobonni i ciemni Chińczycy i Koreańczycy, którzy uważali je za bardzo skuteczny środek leczniczy na różne choroby. Handel ten budzi tem większy wstręt, że mięso pochodziło z nieboszczyków. Arestowano całą służbę cmentarną w Tokio, która zajmowała się odkopywaniem w nocy świeżo pochowanych ludzi i sprzedawała ich ciała na lekarstwo. Dotychczas wielu uwiedzionych ohydnem oszustwem ludzi zgłosiło się do władz w Tokio z zażaleniami, że »lekarstwo« nietylko nie skutkowało, ale stan zdrowia chorych pogorszyło.

Ile zjadają wojska? Publicysta włoski E. Mole zadał sobie trud obliczenia, ile też artykułów żywności spożywają w ciągu doby armie sześciu mocarstw europejskich. Stan czynny tych armii podczas pokoju oblicza Mole na 3 miliony głów. Otóż na wyżywienie tych olbrzymich zastępów potrzeba dziennie: 45.000 cetnarów chleba, 30 000 cetn. mięsa, 15.000 cetn. konserw mięsnych, 6000 cetnarów ryżu, 1800 ctn. słoniny i innych tłuszczów, 1200 ctn. soli, 1860 ctn. cukru, 1440 ctn. kawy i 7500 hektolitrów wina (we Francyi i Włoszech). Do tych liczb doliczyć jeszcze należy ziemniaki i jarzyny. Według obliczenia Molego utrzymanie tych armii na stopie wojennej pochłaniałoby dziennie 200 milionów kor., zatem w razie ogólnej wojny europejskiej, w której brałyby udział wszystkie mocarstwa, potrzebaby było jedynie na wyżywienie tych armii miesięcznie sześć miliardów koron, a w razie, gdyby wojna ta trwała cały rok, 72 miliardy koron.

Ile jest gwiazd na niebie? Jedno z fachowych pism niemieckich podaje ciekawą statystykę gwiazd. Z zestawień tych okazuje się, że do r. 1910 skatalogowano 105,153.460 gwiad, w tem 21 pierwszej wielkości. Zauważono dotąd wogóle 15 gwiazd, które zabłysły i zgasły po paru dniach świecenia. Około 2000 gwiazd ma siłę światła zmienną i to przeważnie okresowo zmienną. Nieuzbrojonem okiem można widzieć gwiazdy do 6 wielkości. Ogółem widzimy tedy według ostatnich obliczeń 7647 gwiazd, nie licząc »drogi mlecznej«. Większość gwiazd świeci światłem białem lub żółtawem. Gwiazdy gasnące płoną różowo, z nich najjaskrawiej gwiazda »Mi« w Cepheusie, zwana u Herschla »Garnet star«. Najjaśniejszą jest na południowej tylko półkuli ziemskiej widzialna konstelacya »Krzyża Połudina«. — 25 milionów gwiazd posiada siłę światła 2·33 miliona razy mniejszą od światła Wegi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

P.P.: Piotr Lipowiak w L.: Z powodu bolesnej straty przesyłamy Kochanemu Panu serdeczne wyrazy współczucia. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Do nadsyłanych zagadek do druku trzeba zawsze dołączyć rozwiązanie, gdyż inaczej na nic. — Szymon Czaja w W. i Antoni Knobloch w N.: Książki za rozwiązania dajemy tylko dwie a rozwiązań dużo. Nagrodę dostają tylko ci, na których los padnie a ten jest ślepy. — Robert Szewiczek w D. Bez przesyłki. Kronika w numerze, opowiadanie później. — Wojciech Węgliński w B.: Wierszyk umieścimy. — Jan Płodzień w Ch.: Nadesłany utwór umieścimy. — Michał Wojnarowicz w S.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Ks. Józef Welc w G.: Rocznik oprawny z 1910 r. i numer od 1 kwietnia b. r. wysłaliśmy. Numerów z pierwszego kwartału b. r. już nam bzak zupełnie. — Robert Rydz w T.: Dziękujemy serdecznie za życzliwość. — T. Gromek z Szcz.: Z listu skorzystamy. — Arkadyusz Szarek w S. W.: Wiersze otrzymaliśmy — dziękujemy. — Jantek z Bugaja: Dziękujemy. Cieszy nas nabytek.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.:

Sługocki Wiktor z H. (1 K.), Wojciech Wąsowicz z Z. (3 K). Kalikst Rybicki z Ch. (1 K.), Kłeczek Ludwik z Cz. (2 K.), Gucz Antoni z B. (2 K.), Rzepka Piotr z M. (4 K.), Matros Stanisław z P. O. (2 K.), Paździora Henryk z G. S. (3 K.). Kirsch Stanisław z L. P. (2 K.), S. Anna Wróblewska z S. K. (1·50), Wiktor Mleczko z Ł. G. (2 K.), Rutyna Antoni z J. (1 K.), Zubikowska Klotylda z B. (3 K.), Ks. Józef Welc z G. (8 K.), Michał Rożek z T. (3 K.) Ignacy Płachno z U. S. (2 K.), Karolina Gronkiewicz z J. (4 K.).

Podziękowanie »Wiśle«, Ludowemu Towarz. wzaj. ubezp. we Lwowie.

Podpisana poczuwa się do miłego obowiązku złożenia publicznie podziękowania ludowej asekuracyi »Wisła« za nader sumienne i szybkie oszacowanie szkody i jej szybką wypłatę. Niech Bóg zapłaci założycielom »Wisły«, gdyż jest ona prawdziwem dobrodziejstwem dla ludu i spełnia sumiennie swoje zadanie i oby objęła ona jak najrychlej cały nasz kraj. Równocześnie składam moje najserdeczniejsze podziękowanie Wielebnemu Księdzu Drowi Gądkowi za przybycie do ognia i skuteczny ratunek, jak również wszystkim sąsiadom, którzy przyczynili się do ugaszenia ognia.

Magdalena Ukraińska z Brzozdowiec.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 25 kwietnia:

Buhaje	Kor	120	do	200	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	160	„	220	„
Jałówki	„	100	„	220	„
Cielęta	„	28	„	76	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	146	„	152	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 25 kwietnia:

Pszenica	Kor.	11·50	do	12·30	za 50 kg.
Żyto	„	7·90	„	8·35	„
Jęczmień	„	8·25	„	9·75	„
Owies	„	8·50	„	9·—	„
Otręby pszenne	„	5·40	„	5·60	„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25	„

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Józef Lach z B.).

Pierwsza - druga z wody
Dla ludzkiej wygody;
Druga - trzecia rzecz cielesna
Niekiedy bardzo bolesna;
Całość kraj to jest wspaniały,
Przez Polaków zamieszkały.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Jędrzej Czarnik z Rz.).

Wprost to płyn — to znów ptak,
Gdy odwrócisz, będzie tak!
Jedno i drugie wszyscy znacie
Jedno pijecie — drugie zjadacie.

3. Kwadrat magiczny.

a	a	a	a	Grzywa.
a	a	a	k	Napój.
k	k	r	r	Zabawa.
r	t	t	u	Dokumenta.

4. SZARADA.

(Nadesłał Józef Kobylański z L.).

Pierwsze-trzecie są częścią ciała ludzkiego,
Trzecie-pierwsze zwierzę, żyje ono w wodzie,
Drugie-trzecie są to drogi kolejowe.
Całość to król wielki, żył w naszym narodzie,
On to pobił cara Iwana Groźnego,
On to ściąć rozkazał Zborowskiego głowę.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania:

1) Jantka z Bugaja: ***Blade kwiaty z wiejskiej chaty.***
2) Kraszewskiego ***Sceny sejmowe.***

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli.* Termin do 6 maja 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli,* Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 16 *Roli*: 1. Arytmogryf:

w
s e r
m a s ł o
m i o d u
k i e ł b a s
p r z y t e m
p l a c k ó w
b u c h t u w
k a s z y
p i w k a
w i n
ą
a p e t y t u
i d o b r e g o z d r o w i a
c z y t e l n i k o m R o l i

2) Łamigłówka przysłowiowa: **Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.**

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:
Józef Kobylański z L. (wierszem), J. Czarnik z Rz., A. Bezokówna z K. m., K. Baron z P., S. Czaja z W., Iwański z T., J. Filipiak z T., A. Warchoł z Z., K. Żyła z F., P. Kurek z N., F. Żebrok z B., W. Flis z L. g., F. Lebiedzik z M. K., W. Franc z K., B. Zachariasiewicz z K., W. Kalityński z P., Z. Bogdański z J., F. Pietyra z K., M. Kadelowa z T., Zieleźnik Józef z Cz., F. Teper z K. M., Koło Macierzy szk. z S., K. Broda z R., M. Zięba z O. b, J. Zyzak z Ż., F. Klocek z N. T., P. Lipowiak z L., K. Szeliga z B., Z. Oraczewska z Ż., P. Juroszek z I., M. Dudek z Ż., W. Dziwisz z W. r., J. Moś z Cz., J. Szybowicz z S., J. Walatek z R., J. Burghardt z S., F. Stec z W. g., A. Kała z Ch., J. Drożdżewicz z Z., S. Winkowski z P., M. Matuszyk z T., L. Misiura z B., W. Gołyżniak z K. w., S. Rakoczy z L., S. Dziadyk z M., F. Dziuba z S., W. Nowacki z Z., W. Pietrucha z Rz. N., S. Misiewicz z Cz., H. Biłko z S., S. Pękala z H., W Łanoszka z S., F. Augustyn z S, M. Radlmesserówna z S., F. Tomczyk z W., W. Huszlak z K., W. Kud z M., J. Płodzień z Ch., J. Kulka z Rz., F. Słowik z Sz., Knobloch A. z N., F. Sojka z Z., J. Hirszberg z K., W. Siemek z T., W. Węgliński z B., F. Dziadek z W. G., A. Konieczko z H., A. Babiakowa z U. d., P. Bielecki z D., W. Stefański z G., Kółko rolnicze z S. m., H. Łukawski z J., S. Ledziński z D., A. Kardysz z Ż., J. Ermel z R., W. Wawrzczak z K., J. Pożdał z J., M. Pietryka z B., J. Wojnar z G. M., Gąsiorski J. z B., Kółko rolnicze z A., Markiewicz Fr. z S., J. Dyrdoń z B. (wierszem), Józef Lach z B. (wierszem), Rudolf Kula z M. K., Walerya Trębacz z K., Fabian Święch z O., Adam Zieliński z M. Z., Wojciech Kowalski z K., Arkadyusz Szarek z S. W., J. Świętek z P.

Nagrodę p. t. ***Nad poziomy*** wylosował **p. Markiewicz Fr.** z S., zaś drugą p. t. ***Przykłady z życia zacnych ludzi*** **p. Walerya Trębacz** z K.

Wydawcy Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego